



WIADOMOŚCI LITERACKIE

Cena 80 groszy

TYGODNIK

Nr. 52 (208)

Warszawa, Niedziela 25 grudnia 1927 r.

Rok IV

JOHN DRINKWATER

Shakespeare i Lincoln*)

Rzecz dzieje się w krainie cieniów, późną porą wieczoru wiosennego roku pańskiego 19—. William Shakespeare siedzi na zrąbku pniu drzewnym, nad brzegiem małego po'oku leśnego. Nowocześni wieszczkowie wiedzy zaświatowej, którzy z przedziwną prostotą swej wiary głoszą wiekiistość osobowości, uczuliby się porzuceniem na duchu widokiem poe'y, który z przejęciem właściwym swej istocie śledzi wartki prąd i wiry strumyka—już to strzelając w górę drobniemi wytryskami piasku, już to chwytające w lot cie i młodych liści — szepczą półgłosem znane do-brze urywki swej wiecznie młodej filozofii.

W tym momencie, gdy oczy mistrza, wpatrzone w biegnące fale, kamyki rzeczne i odbicie konarów drzewnych, rozpa-miętywały na nowo n'zniszczal e orędzia twórców języka, ujętych w księgi wiekopomne, zbliżył się doń poprzez gąszcz boru cień bliźni istny cień wielkoluda. Uśmiech zadowolona rozjaśnia twarz Shakespea-re'a, który tak poczyną:

Shakespeare. Cóż za niezwykle i miłe spotkanie! Przecież to Abraham...

Li co'n. Dobry wieczór, Williamie. Nie miałem zamiaru przerywać ci twoich wywczasów.

Shakespeare. Ależ trudnoby mi wymarzyć lepsze towarzystwo, Siadaj, pogawędzimy.

Lincoln (siadając na pniu). Teg'e drzewo. Garną się d'nie do ściecia takiego pniaka. Jest coś radosnego w tej robocie drwa'a... Mocny rozmach ramienia, dźwięczny, daleko osny zaciós topora i białe wio'y latające dokoła, a potem zduszony jęk drzewa i chyży choć długotrwały skłón. Napatrzyły się oczy tych spraw w Salem, Dzeciństwa szcze-sne dni.

Shakespeare. Pamiętam i ja drwali... by-wali w Arden. Ale powiedz mi, co porabiasz, gdzie bywałeś? Przecież lat trzydzieści z okładem minęło od naszego ostatniego spotkania.

Lincoln. Eh, wszystkiemu wi ien ten sta-ry pocze'wiec, Pla'o. Gadula niezno-sny... Spotkałem go po owem rozsta-niu się z tobą i poczeł śmy młócić sprawę niewolnictwa. Zwykle pozwalam mu się wygadać dowoli, ale w tym wypadku trudno było milczeć. A skorośmy raz zaczęli dysputa ciągnęła się bez końca... Zajął nam ona cały ten czas. Z każdą wiosną Plato s'awał się coraz bardziej wygadany i coraz mniej do-rzeczny... To już trzydziesta wiosna zrzędu. Nie mogłem dłuższy wytrzymać. Skorzystałem z tego, że s'ę zaciętrze-wił, i wymknąłem się niepostrzeżenie, jak c'eń... On pewnie jeszcze gada. Pokreśliło się w tej starej atenskiej mó-zgowie t'e... A uparty jak wachłak z Sangamonu. Wykazałem mu ten upór nie raz i nie dziesięć. Ale na co się to zdało... Po staremu głosi, że jakiś rzekomo najwyższy interes kilku wy-brzańców usprawiedliwia ucisk i nie-wolę...

Shakespeare. Powoli, Abrahamie nie uoś się. Nie rozpoczynaj ze m'a drugie trzydziścieletnie dysputy. Wiesz do-brze, że i dla mnie tłum nigdy nie był bożyszczem... N'gdy nie stawałem cał-kowicie po twojej stronie.

Lincoln. Tak, wiem. I to mi się najmniej u ciebie podobało. Przypuszczam, że ten dwór elżbietański wiedział jak ta-mować swobodę oddechu... Niezawse mogłeś wyrazić coś czuł i myślał.

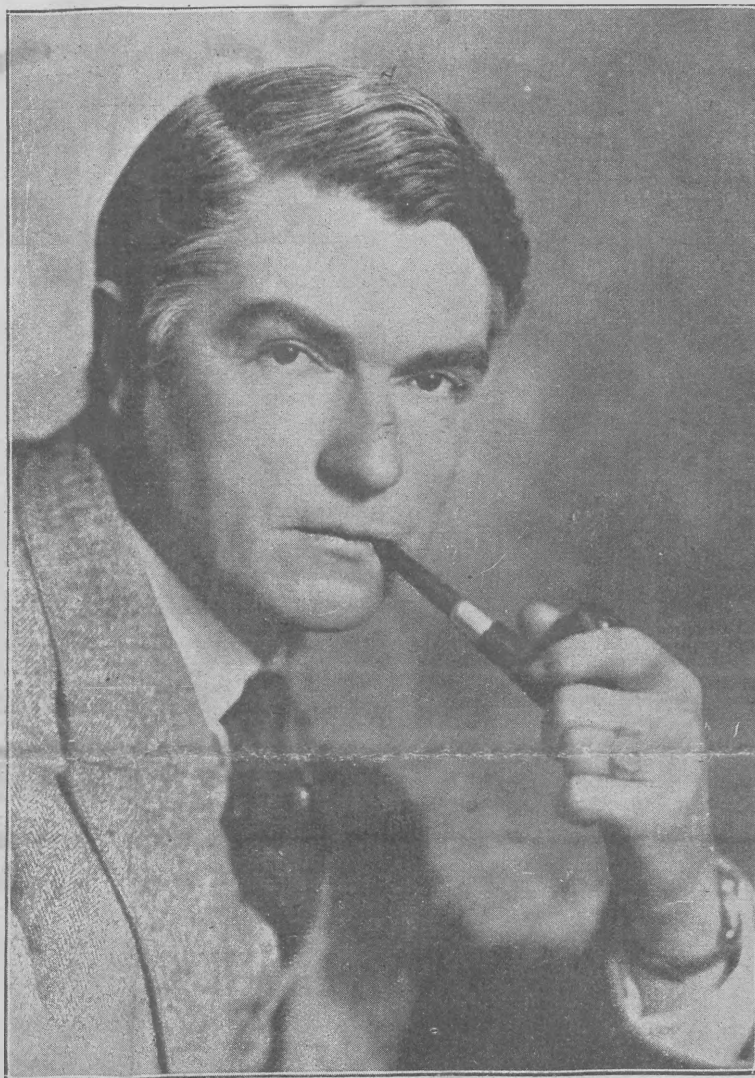
Shakespeare. Myślisz się... Nie tamowa-ć nam swobody prawie zupełnie. Prze-ciwnie, oddech nasz był swobodniejszy, niż się to naogół zdarda. Mówiliśmy to cośmy myśleli i czuli... Byliśmy poe-tami...

Lincoln. Wiesz ciębie naprawdę n'e zależa-ło na tem, jaki był byt ludzi, twych bliż ich i braci?

Shakespeare. Kochałem ich. Kochałem ich tak głęboko, że m'a nich nie pra-gnął niczego, jeno: zmiany na lepsze, udoskonalenia... I tyś ukochał człowieka. Wiesz... tyś rasę całą wywiodł z do-

mu niewoli. Ale ci czasu nie stało, by im pomóc w ich udoskonaleniu. Lincoln. Tak. A ja mogłem im w tem

Shakespeare. Dlaczegożbyśmy się nie mieli rozumieć? Jesteśmy odroślami tego sa-mego szczepu. Jestem przekonany, że



JOHN DRINKWATER

pomóc... Potrzebowali tej pomocy... Dobrze mi tu z tobą, Williamie. Nie zawsze się z tobą z'odzdam, ale zdaje mi się, że się wzajemnie rozumiemy.

nad brzegami Avonu czułyś się jak w domu. Lincoln. Nie wątpię w to... Wiesz co ci powiem, Williamie? Te twoje sztuki

O decyzję życiową Conrada

Pan K. W. Zawodziński w rr. 195 „Wiadomości Literackich” daje próbę odpowiedzi na niepokojące pytania: dlaczego Conrad opuścił Polskę, obrał za przybraną ojczyznę Anglię i pisywał po angielsku? Autor artykułu ma słuszną podjętą uwagę, że metafizyka Conrada, objawiająca się m. in. w ujmowaniu i interpretowaniu faktów własnego życia, wszystkie momenty irracjonalne specjalnie podkreśla i wyiskrawia. Dzięki temu pogłówni na życie Conrad pod pewnymi względami utrudnia nam sam przejrzenie motywów swego postępowania. Mnie się jednak zdaje, że p. Zawodziński popada w drugi kraniec, w skrajny racjonalizm. W tem zracze iu dążymy do zrationalizowania tego co irracjonalne, że chcemy rzecz niepojętą sob'e wytłumaczyć. Ale wytłumaczyć zjawisko (np. czyjeś postępowanie)—to nie znaczy bynajmniej sprowadzić je do motywów rozumowych, wytłumaczyć czyjeś życie — to nie znaczy bynajmniej odrzucić czyjeś plany. Conrad, który ma tak wiele w sobie z psychiki człowieka czynu, aż nadto często podkreśla w swych pismach ten fakt, znany wszystkim z introspekcji, że najczęściej ex post dorabiamy rozumowe uzasadnienie swego postępowania. W tem już nie ujawnia się jego sympatia do irracjonalizmu, lecz prosta z aiomości duszy ludzkiej, w tem poglądy Conrada są całkowicie zgodne ze stwierdzeniami nowoczesnej psychologii. Konstrukcja Zawodzińskiego jest „sama w sobie” logiczna, jest słuszną, ale jest tylko konstrukcją, nie liczy się z faktami, t. j. z charakterem Conrada. Czy

zresztą rozumowanie rodzi wolę i plan w takich razach, czy czyjekolwiek życie jest zrealizowaniem jakiegoś planu? A jeżeli nie, to poco szukać f'kcji takiego planu? Instynkt, powołanie decyduje o kie-unku, reszta jest wypadkową tego kierunku wyrastającego z istoty indywidualności i okoliczności. Na początku był impuls, później mogły być plary, czy więc impuls ten planami wytłumaczmy? A w tym pierwszym impulsie r'e widzę nic niewytłumaczalnego. Niestety, socjologowie mało zajmują się kwestią powstawania kierunków. A może u podstawy kierunków leży „potrzeba, matka przemysłu”. Natury żywotne i twórcze o zdrowych instynktach i silnym zmyśle życia p'ewszę odczuwają braki i jednostronności swia'a, w którym wzrosły: czują głód tych włas-nie rzeczy, o których ich świat zapomniat. Ni: znajduję innego wytłumaczenia powstawania kierunków. Dla mnie odstrychnięcie się Conrada nie jest ani trochę bardziej tajemnicze od walki Wyspiańskiego z przeszłością i grobami a społeczeństwa Conrada w istocie niewiele różna, choć bez porównania sympatyczniejsza od aspołeczności naszych modernistów czy nietscheanistów. A resztę tłumaczy to, że „życie wciąga”. Conrad — w tem siła jego natury, upór i duma, że nie na'eżał tylko do ludzi, którzy czują się zobowiązani powiedzieć B ale C, D i E — a to że powiedział w końcu F i G, których nie chciał, — to takie jest życie, i do-prawdy: je różni się w tem tak bar-dzo od niego. Nie wierzę w żadne plany Conrada!

Stefan Kotaczowski.

Kisling i jego malarstwo

Paryż, w listopadzie 1927.

Mógłbym sobie ułatwić zadanie, rozpoczynając artykuł jakimś anegdotycznym szczegółem z życia Kislinga, szczegółem, zaopatrzonym nawet w uwierzytelniające „pamiętam...” osobiste. Miałbym zresztą i wszelkie ku temu prawo: czyż nie spędzi-limy razem paru letnich miesięcy, bezpo-



KISLING

średnio po przyjeździe pana do Francji?! Wczo'aj przypominaliśmy sobie te odległe, przedwojenne czasy... Istotnie, Audierno, tej małej bretońskiej miejsc... nie jestem w stanie chociażby dlatego tyl-



ko, że patrzę często i patrzę chętnie na motywy portu, przez pana wtedy jeszcze malowany. I nie wiem, kto z nas dwóch był dumniejszy — czy pan, że udało mu się sprzedać obraz, czy też ja, że mogłem



z własnych pieniędzy zapłacić?! Tyle lat, tyle ważkich lat... Dż's w przestronnej a miłej pracowni Kisli ja widzę zaledwie kilka, i to zaczętych dopiero, płócien. Po-doba mi się ta szczerza prostota, z jaką tłumaczył mi pan, że każdy skończony, rysunek nawet, zabi rają odrazu kunsztan-dlerzy. Reguła „świeżości” kariery arty-stycznej: „nasamprzód — śmierć, a póź-niej — powodzenie” — posiada więc i wyjątki... „Obraz, spłodzo'y przez malarza...” — tak groteskowymi przenośniami stylistycz-nemi nie posługuję się już obecnie żaden poważny krytyk. Nikt bowiem nie pra-gnie narazić się samochęć na figurowanie

w rubryce „Camera obscura” lub na irnej „oślej łące”! Ale jakiego, w takim razie, użyć wyrażenia, — mniej śmiesznego a rie-zbyt drastycznego, — by trafnie określić ten ero'yczny wprost stan napięcia twór-czego, w którym znajduje się Kisling zdaje w chwili, gdy maluje?! By spre-cyzować słowami te wybitnie jego, aż do lubieżności niemal posunięta, rozkosz zmysłową w wodzeniu pędzlem po płótnie, w kładzeniu farb grubemi, gładkimi warst-wami?! Analizowano dorobek artystyczny pana często, obszerne i sumiennie, o-głada-o obrazy pana pod lupą obiektywnej erudycji, wpatrywano się w nie z sub-jektywną przenikliwością literacką — od-najdywano ślady semickiego Wschodu, mó-wiono o żywiołowym pędzie słowiańskim, liczono się z wp'ywem ulicy paryskiej... Niewątpliwie, każdy z tych czynn'ków od-dzielenie i wszystkie razem wy'ryły piękno ra twórczości pana, ale o stylu jej zde-cydował przede wszystkim czysto osobi-sisty temperament, stanowiący o wyobraź-ni bardzo indywidualnej. Romantycznym sentymentem obdarzony jest Kisling w du-



żym stopniu, — ujawnia się to rader wy-raźnie w całym jego malarstwie, — ale siła uczuciowości człowieka nie osłab'a w nim jednak potencji zmysłowości artysty-cznej. I dlatego — nie: co przedstawiają tematowo obrazy pana, lecz: jak są one pod względem formy malarskiej ujęte? I dlatego też przytakiwał mi pan tak skwa-pliwie: „Evidemment, j'aime la matiere pour elle-meme — jest to rozumiałe a nawet wręcz konieczne!”. Bo w Kis'ingu niema nic z taniej lub nawet droższej po-ządliwości jako celu samego w sobie, a w'ec bezzłodnej, — jest ona tylko wła-ściwym spiritus agens jego męskości twór-czej w dziedzinie sztuki.

Moż'aby było przeto przypuszczać, że obrazy Kislinga posiadają cechy sui ge-n'ris bachicznego rozpętania zmysłowości, przynajmniej pod względem układu kom-pozycyjnego, zestawień barwnych, kontra-stów świetlnych i t. d. Ani śladu! „Moc twórcza rodzi się z przymusu a umiera — z wolności” — przypominały mi się te sło-wa Leo'arda da Vinci gdy przyglądałem się uważniej malarstwu pana. Jestem przekonany, że nigdy nie czytał pan tej ma-ksymy, wiemy wszakże z pewnością, że stanowiła ona zawsze jeden z naczelnych dogmatów pracy pa'a. Ma pan stałe w pamięci nie tylko przywileje wybitnie uta-lentowanego artysty, ale i obowiązki bar-dzo sum'ennego rzemieś'n'ka. Ceni pan zbawienne tak często własności raka-zów technicznych za to, iż mądrze tyranizują wyobraźnię, potęgują tem samem jej twór-czą p'omotei'ialność. Dura lex, sed artis lex! — poddać więc Kisling kompozycje obrazu, zespół form do'ór barw i walorów rzeźmicznej logice możliwości malarskich, ulega'ac wyłacz ie jej despotyzmowi, nie zaś skłonnej do niekonsekwencji plastycz-nych log'ic „natury malowniczej”.

Indywidualność malar'ska przywieziona tutaj ongi p'zez pana, była wówczas bez-kształtna jeszcze rudą o wysokoprocento-wej jed'ak zawatości szlachetnego krusz-cu — samorodnego talentu. W nigdy nie stygnącym żarze olbrzymiego pieca, któ-rym jest Paryż artystyczny, łatwo mogła być — w zatknięciu beznamiętności — z inermi już skry'salizowa'em indy-widualnościami — dać amalgamat o świe-tyni nawet polskiu zewnętrznym ale o słabej ha'towności wewnętrznej. Nie sta-ło się tak! — wytrwale staran ie i uczci-w'e (mam tu na myśli etykę samej pracy) wykulał pan z tej rudy odrębność treści i formy plastycznej, swój własny styl ma-larski. Mocny temperament artystyczny? Ależ oczywiście! tylko że dobrowolnie od-dany pod przymus głębokiej w'edzy ter-hnicznej... I to stanowi w ostatecznej mie-rze o wielkiej wartości sztuki Kislinga. Zygmunt St. Klingsland.

Przełożył Florjan Sobieniowski.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kw. I 1928 r. (wraz z miesięcznikiem „Pologne Littéraire“ zł. 9.— w kraju, dol. 2.— zagranicą). Administracja: Warszawa, Boduena 1, tel. 223-04 (można zamawiać telefonicznie). Konto w P.K.O. 8.515.

WRAŻENIA

Gdy po wyczerpaniu wreszcie złotej żyły „dziś” Jacka Londona, księgarze, obdarzeni nieomylnym wyczuciem demoralizowanego przez siebie motłochu, w zbiorowem (!) wydaniu Erenburga odkryli co najmniej równie intratną afurę: gdy sam wielki mag zjechał, celem przypilnowania geszeftu, do kraju, który daje notorycznie przymierać głodem pierwszym swym pisarzom; gdy, witany owacyjnie przez rozhisteryzowane wielbicielki, opędzić się nie może usłużnym dziennikarzem i jeszcze usłużniejszym literatom; gdy raz jeszcze triumfuje tradycyjna nasza gościnność — bo i któż, jeśli nie „Sławianie”, lubi sielanki — oraz uporczywa chęć popisu królewskim łachmanem rodzimęj nędzy, a staropolski chleb i sól zastępują czarna kawa, co tydzień prezentowana, prawdziwie traci na znaczeniu, by przemienić się w końcu w lurę, którą snobizm obłudny częściej importowanych bez wyboru gości, a także przybłędów; gdzie nasyca i tak już dość otumanione „szerokie sfery czytelnice” przekupuje się — jakby niedość było krajowej tandety — cudzoziemskimi ohdyne błyskotliwymi paciorkami, niby dziadusów, a zwłaszcza dzikusów; gdy ta reklamarska wyprzedaż nieużytków, ten upiorny, a razem zabawny w swym naiwności, bric-a-brac pochwalici się już może (poza wydaniem przygodnym) VIII tomem polskiego przekładu, co jest, bez przesady, wiele dającym do myślenia objawem społecznym, dokumentem zniknięć drobniomieszczańskich w Polsce współczesnej, której to właśnie taniej destrukcji najtypowszym bodaj w okresie powojennym przedstawicielem jest osławiony autor „Jurenitia”, ów ałeczysta intelektualny, zresztnie przystosowany do zmienionych zmechanizowanych warunków; gdy nawet wśród tych, którzy z samą racją swej młodości — już nie mówię z poczucia smaku i wartości — winni protestować, a w każdym razie prześladzili, wśród tych, którzy jeszcze parę lat temu nie bez słusznego uważali się mogli za awangardę artystyczną w kraju tak zaołanym, jak Polska, znajdują się tacy co biorą na serio „nihilistę” kieszonkowego formatu, którego pryncypjalne aforyzmy o „szczęściu” niezawodnie cieszyłyby się mogły powodzeniem na niedolnej wieczornej techników dentystycznych; — niechaj wolno mi będzie podzielić się wrażeniami, niczem więcej, z pozbitej lektury, z przypadkowego zetknięcia.

Gdziekolwiek utworzyć te kolportażowe brukowce, nie wiedzieć czemu uchodzące za powieści, „idee” ich (jeśli ten mianem określić się godzi co podobnie wymiętego, zużytego, przetętego) są u Erenburga na tym samym poziomie, co brudne pudełko od sardynek: ów smakowity galimatjas autora *doskonale wypranego z wielkości* łatwo jest strawny dla mieszczańskiej gawiedzi i dla małpającej ją, ogłupiałej, zdeklasowanej „inteligencji”. Jest w tem, być może, pewna „złoty” niezupełnie zamierzona: ów pisarz doprowadza do absurdu przez jaskrawą karykaturę cały dotychczasowy proceder pisarski: ten toruje drogę, i to zarówno w świadomości artystycznej jednostek, jak, być może, w upodobaniach tłumów istotnym nowatorom. Przecież pomyślowo nie ma brak: bierze sobie pierwszą lepszą dyktującą z kroniki wypadków, z plotek kawiarnianych znajomków, lub z własnej wreszcie niewybrednej inwencji, poczem obrabia ją na „styl stenograficzny”: ot, i gotowa nowoczesność; czytelnik, któremu zażmoliłoby uderzenie pięścią między oczy, lubi być brany poważnie: nie zawsze wie, co to znaczy, o co tam właściwie autorowi poszło, — jak zwierzał mi się pewien skromny inżynier z Zagłębia, — ale *tem samem* co w tem jest; Erenburg, przynajmniej trzeba, posiada w stopniu najwyższym instynkt tych, którzy opanowali tłum: przypodobania się, pokrytego pogardą; jest to urodzony i skończony, jako typ, *dziennikarz*, w równie mierze, jak np. Mussolini; przeciwstawiając się pół — inteligentnej hałastrze, *jest jej najdoskonalszą personifikacją*, i przez to, jako nieskażony przedstawiciel pewnego gatunku społecznego, — tyle tylko, że zawodowo zautomatyzowany, — budzi musi ten rodzaj zainteresowania, co np. potworne przestroje w panopticonie.

Twórczość Erenburga — to patologiczny okaz chorego społeczeństwa, a raczej pewnych zarządków ustępujących już z widowni warstw jego, i w tym charakterze za kilka dziesiątków lat posłuży za preparat do badań społeczologicznych, o ile ktoś zechce babrać się w tych niepoważnych brudach. Tam, gdzie Erenburg „zwalcza” napozór, tam *schlebia*; jest to jedy- na sztuka, dość zresztą dzisiaj rozpowszechniona, o jakiej mówić można w zastosowaniu do niego. Wszystkie odkry-

cia, poczynione przez innych w samej technice, triki choćby, a nawet głębsze podstawy formalne, przyswajają sobie bez trudu, kopiuje z całą świadomością i karykaturalnie doprowadza do absurdu; raz po raz napotyka się tu ekspresjonizm zwulgaryzowany, strzępki imaginizmu pozbawionego motywacji, coś co jest niedołączną próbą konstruktywizmu, i t. d., kolejno — tak że ów autor równie głośnych co pozbawionych wartości ramot pseudo — rewolucyjnych, jako pisarz, czyli *pracownik* słowa i idei, jest *wyzyskiwaczem* bezwzględny, niesumienny, interesowny, niegorszy od cynicznej plutokracji. Awangarda literacka powinna się zresztą przeciwko niemu: wykosił ją na jej pozycję duchową i niewątpliwie rezultaty formalne, małpuje jej metody, niewiele do poziomu profanum vulgus, złożonego z pyszałków, „znawców” i ignorantów, słowem — *naraża na kompromitację*, — dewaluje, nie wiedząc o tem. Kiedyś, i to wcale niedawno, był sobie bezpretensjonalnym „inteligentem”, pisującym niepozabawione wdzięki dyletanizmu komentarze do utworów poetyckich swych kolegów — Rosjan; ale dzisiaj ten belfer z cichej prowincji, który oszalał na punkcie „współczesnego świata”, wypłynął na szerokie wody; dzisiaj po nieco mniejszych stolicach midrzy się publicznie wśród nabożnie zasłuchanej zdezerjentowanej tłuszczy, a literaci — to „sumienie zbiorowości” — pod nogi rzucają mu petitis-fours-y. Zamiast w cieple adoracji urządzić herbatki towarzyszące, należałoby ostrzec tłumy, — choć trude przez prasę, zawsze mimo to spragnione kropli ducha, a przez to tak łatwo idące na lep samca, — że są *oszukiwane*.

Erenburg jest Paul de Cockiem naszej epoki, niegdyś najbardziej poczytnym autorem bulwarowym rodzącego się wszechrosyjskiego filistra, całkowicie dzisiaj zapomnianym, z tą tylko korekturą, że jest on pisarzem ulubionym tegoż filistra, ale społecznego, zamerykanizowanego, a zarazem — *obumierającego*, jest niejako jednym z widoczniejszych podrygów potwornej jego agonii. Dopiero niedawno uświadomano wkręcić w Paryżu owego „przednika Balzaca”, czyli zbieracza interesownego sztukowanych, płaskich anegdot, w słusznym wyrachowaniu, że i na taką osobliwość znajdują się amatorzy; istotnie André Salmon nie omieszkiał napisać pochwalnego artykułu, co było albo perwersją zblazowanych albo oplacającą się reklamą. Podobnie za pół wieku będzie z p. Ilją. Tacy byli przecież zawsze, i typ ten powraca w różnych przebraniach w wahnieniach się wielkiej wagi historii; dziś tylko łatwiej mu rozpoznać się w próżni społecznej — w tragicznym interwale bezideowości — między zaraziłymi wprost rozkładem zamierającego mieszczaństwa a niezdolną jeszcze kulturą walczącą o proletariatu; od pierwszego zapożycza destrukcyjność, czem mu się bezwiednie przypochlebia, a drugich kolkietuje zakłopotana apologeta nowoczesności, by przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie: sukces i zbył jest zapewniony. Szczęśliwą realność w jego twórczości — *to dekoracje* z lichego papier-maché; on zaś sam pozwala sobie zgłogować takimi przętami dla mobu, jak „romantyzm naszej epoki”, budząc mimowolnie obrzydzenie dla żywych i istotnych spraw. Jego sposoby, jego postacie, jego przenośnie, słowem to wszystko, co czem niemyślnie poznać można rasowego prozaika nawet w jego pomyłkach, — to krwi pozbawione, strupiejące *schematy*; idee — ideami maklera; „poetyczność” działa na wymioty; gdy mówi „gwiazdy”, chcieliśmy zatkąć mu usta, by nie wymawiał bluźnierstwa, — on, jakim prawem?! Obok wielkich przedziałów istnieją składy odpadków; Erenburg — to właśnie taki „nabeb-product” dzisiejszej industrializacji; płytki jego immoralizm post — impresjonistyczny beletysty — gdyż, wbrew pozorom, nie jest on niczem więcej — uprawia specyficzny voyerizm, od którego zalewa się błogim potem starca lubieżność dzisiejszej publiczności: lubi za nim podpatrywać przez symboliczne dziurki od klucza, szperać w szparach zaśmieconych, owych „ropięjących ranach społeczeństwa”, i wlażyć, gdzie jej nie proszą. Także i dla niej każdy Amerykanin — ów gieldziarz, sportsmen i tyle wielbiony naczelnik z lichego kina — rodzi się na 38-em piętrze, bo i gdzieżby indziej? Znamy się na tej subtelnej „ironji”; oto jak mały Janek, wstępniak wyłany ze wszystkich szkół za arogancję, przedstawia sobie olbrzymią współczesną cywilizację mechaniczną.

Ktoś z przeciwników nazwał Erenburga miernym pisarzem; — to pochlebstwo; to w istocie rzeczy jeden z najgorszych obecnie feljetonistów w Europie, nudny,

potwornie zrozumiwały, jak wszelki napoły cywilizowany samouk, pewny siebie a razem prymitywny feljetonista dla przedjedzonego, znużonego, bankrutującego mieszczaństwa, które łechtać należy rozpustą „nowego egzotyizmu”; jest to składniad czysto mózgowa i niewyszukana rozpusta: wyzwanie tych, którzy poprzestają na byle czem, — impotentów. Zawiliłość Erenburga, — z tak prostackich złożona rudymentów, — to zawiliłość bezpłodności. A najgorszy właśnie jest ów egzotyzm, ten cały „pseudo — sowiecki” sos, jakim podlane są stare szabloni, wyswiechtane kawały, zużyte pomysły; wynalazczość Erenburga, ta cała nieumiarowana, nieprzyswoita płodność, — to niewyczerpana pomysłowość fabrykanta fałszującego wedle ustalonych raz na zawsze i lekko dla niepoznaki kombinowanych wzorów antyki (albo też meble ultranowoczesne). Ten najdokuczliwszy maciowoda, jakiego zna chaotyczna Europa powojenna, jest jednym z najgorszych jej szkodzińców nie przez swe znaczenie, ale przez poczytność; Dekobra nie ma przynajmniej pretensji do literatury, a nawet niejednokrotnie wyraża dla niej pocieszną pogardę; ten podrutek piśmiennictwa jest sobie poprostu autorem dla międzynarodowej kanalii sleepingowo — kokocianej; ale — na Boga! — Dekobra skomplikowany. Cóż za tytuł do chwały! Ach, ach, a przytem jak dziewczę, jak wykrętnie jest on czysty, jak eteryczny, jak niebiański, jak nieuchwytny! Na takie np. natrafia się zdanie: „... wciąż rozmyślał; czy Raszkolnikow miał prawo zamordować lichwiarę? Czy miłość Anny Kareniny była zbrodnią ze stanowiska wyższej etyki? I inne rzeczy w tym guście.” (tęże podkreślenie). Na to nie odpowie ani autor, ani ja, czytelnik; to pozostanie w zaszczeniu, tego z nas nie wie nikt... Ale wiem jedno: taka insynuacja jest szkodliwym, taka tępą i wyrachowaną perfidią — *zbrodnia społeczna*, która winna być karną banią, terrorem, jako wymiarem sprawiedliwości zbiorowej. Z 9/10 bowiem czytających — co dopiero u nas, w kraju analfabetów całych i połowicznych, w kraju zwycięskiego podoficerstwa, — kto to raz przeczyta, będzie się już na zawsze wstydzil zachwytu dla tego co słusznie lub nie poczytywał dotychczas za wielkość i sztukę, podziwu dla Tolstoj’a i Iż dla jego bohaterów, — tych też, które są więcej warte od kilkunastu tomów tłumaczonego na wszystkie języki p. Erenburga, od całej zakłamej i obłudnej jego problematyki. Ale oczywiście, *uchwycić* się to nie da; lis ten nie tylko jest farbowany, jest także szczywany; autor „Joanny Ney” dość jest sprytny na to, by nie dać się złapać na gorącym uczynku. Odpowiedź: to przecież nie na serio — *coż za naiwność!* — to sarkazm, na którym się nie poznano, nieodzwonny dla charakterystyki typu dawnego, dziś zblakłego „inteligenta”; tylko że, niestety, sam Erenburg jest najdoskonalej zachowanym egzemplarzem tej właśnie tragicznej dziś niemal warstwy, egzemplarzem cynicznie przystosowanym; oto cała wyższość jego: niektóre bowiem płaszki, szare i niebieskie, lubią brudzić własne gniazdo. Nie, nie przynajmniej się od do żadnego określonego „systemu estetycznego i artystycznego”; on, mieszcuch, obnażający się publicznie na pokaz, wyższy jest ponad takie drobnotki; nie opowiada się zdecydowanie za niczem, nie nie aprobuje, nieczemu się nie przeciwstawia: jest rze do zaatakowania; niekiedy tylko ten Katon nieśkazitelnym oczkuje z pisarzami rzetelnymi bojującymi po tamtej stronie barykady; ale i wtedy wie, co r-bi.

Jeśli jest w nim istotnie cokolwiek z rzeczywistej Rosji współczesnej, należy wyrazić zdziwienie, że nie firmy polskie (u nas nie poznają się nawet na tem), lecz emigracyjni pisarze rosyjscy nie wydają jego pism zbiorowych jako *najlepszego środka propagandy antyrewołucyjnej*.

Człowiek ów, który pisze i mówi taką tonacją, jakby wygłaszał objawienia, gdy wypowiada urbi et orbi modne a kliwie truiizmy, który nie przestaje reklamować także z mównicy swych niesmacznych kawałów na ograny temat „kryzysu Europy” (on, co naczynny: jest jego wytworem), ma twarz niepozbawioną neuraszniczną subtelnością; policzki wygolone, jak u staro- go aktora; kosmyk włosów, upadający odniechęcenia, zaznacza dyskretną przynależność — *quand — mème* — do internacjonalu cyganerii; jaskrawa plama krąwała — afekcyjne anty — estetyczna sportowca i wogóle „modernity” z epuki panowania Picassa: ale wszystko u tego sła- cza duchowego zalutuje zginiłym Zachodem, czyli Rotondą; twarz jest zmartwia- ła i szara, dziwnie zneruchomiata.

Stefan Napierski.

NA GWIAZDKĘ NAJPIĘKNIEJSZE POWIEŚCI NAJZNAKOMITSZYCH AUTORÓW ! NOWOŚCI !

HERMAN BANG
Michael

Powieść Przetłóżył L. Staff
„Książka ta pierwszego powieściopis-
rza Danji jest wstrząsającą tragedją wiel-
kiej duszy. Mało komu udało się wejrzeć
w ten sposób w cielesne i duchowe życie
artysty” („Politiken”)

MICHAEL ARLEN
Zielony kapelusz

Powieść Przetłóżyła A. Cylkowska
„Z racji nie dającej się ująć delikatno-
ści i subtelności opowieść o bezwstydną
a wstydliwą damie w zielonym kapeluszu
nie ma sobie równej” („Times”)

JAKÓB WASSERMANN
Maski Erwina Reinera

Powieść Przetłóżył M. Tarnowski
Pierwszy powieściopisarz współczesnej
Europy, subtelny znawca duszy męskiej,
kreśli w tej pięknej powieści obraz zma-
gań człowieka. Mężczyzna niezdolny do
wzruszeń rzucony zostaje nagle w wir na-
miętności. Z poza zmieniających się jak
w kalejdoskopie masek wylania się wresz-
cie jego prawdziwa twarz

STEFAN ZWEIG
**24 godziny
z życia kobiety**

Siódme wydanie
Genjalny poeta daje nam obraz pię-
knej i rzadkiej duszy kobiecej, jak też tra-
gedję niezwyklej miłości mężczyzny, jako
nierozwiązalną wieczyste zagadnienie

LEO BELMONT
Pani Dubarry

Trylogja
1. Wiosna miłości, 2. Królestwo miłości-
ci, 3. Pod gilotyńą
Oto kobieta, której życie było miłością.
Tylko Belmont mógł stworzyć tę wielką
powieść o najpiękniejszej kobiecie Fran-
cji. Od rozdziału do rozdziału coraz sil-
niej wzbiera nasz podziw dla zwięzłości
i bogactwa akcji

GERHART HAUPTMANN
Kacierz z Soany

Powieść Przetłóżył L. Staff
„Kacierz z Soany” jest może najpięk-
niejszym dziełem współczesności literatu-
ry powieściowej. Krąży w niem gorąca
krew życia

JURIJ SJOSKIN
Olga Org

Powieść Przetłóżyła M. Kreczowska
Aleksander Kuprin pisze: „Wielki po-
wieściopisarz rosyjski dał nam porywa-
jący obraz duszy studentki. Ja, co przez
długi szereg lat nie znalazłem też, wybuch-
łem płaczem serdecznym po przeczytaniu
tej dziełnej, istotnie cudownej książki”

JAKÓB WASSERMANN
**Dzieci Europy
czyli
Kacper Hauser**

Powieść Przetłóżył L. Belmont
Głęboka, prawdziwa historia tragicz-
nej duszy dziecka. Czytelnik staje przed
nią ze łzami w oczach. Niema książki,
w którejby dano tak potężny obraz rozwoju
duszy ludzkiej, jak w tej genialnej, nie-
zwykłej powieści

DO CZYTELNIKÓW!
Jeżeli kochacie dobre, przykuwające uwagę
książki,
jeżeli święta mają wam dać mile wy-
tchnienie,
jeżeli przyjaciom waszym chcecie spra-
wić radość,
żądajcie od waszego Księgarza
Książek Instytutu Wydawni-
czego „Renaissance”

Nasze książki na pięknym bezdrzewnym
papierze nabywać można w broszurze
z wielobarwną okładką oraz w luksusowej
oprawie

„RENAISSANCE”
INSTYTUT WYDAWNICZY

SZKICE POLGARA NOTATKI

Niezapomnianą zasługą pozostanie wy-
danie przez znanego nakładcę berlińskie-
go, Rowohlta, pism krytycznych Alfreda
Polgara p. t. „Ja und Nein” (w trzech to-
mach). Rozsiane po rozmaitych pismach
niemieckich i austriackich, drobne roz-
prawki i recenzje teatralne tego najwybit-
niejszego dzisiaj krytyka niemieckiego
zaginęłyby zapewne dla szerokiej publicz-
ności, gdyby nie szczęśliwa myśl wydania
ich w formie książkowej. Zachęcony powo-
dzeniem, z jakim spotkał się zbiór „Ja



ALFRED POLGAR

und Nein”, wydawca berliński opubliko-
wał ostatnio nowy tom Polgara p. t. „Ich
bin Zeuge”. Tym razem jest to zbiór
krótkich feljetonów, z których każdy sta-
nowi prawdziwe małe arcydzieło. Sztuka
pisarska Polgara polega na tej samej me-
todzie, co sztuka innego, również znakomi-
tego, Wiedrzyckiego, Altenberga, — na me-
todzie oszczędzania słów i kondensowania
myśli. Każdy feljetonik Alfreda Polgara
jest małą powieścią, zamkniętą w ramach
trzech a najwyżej czterech stron druku.
Trzeba być naprawdę wielkim, aby mając
taką łatwość pisanja jak Polgar, ograni-
czyć się do zwartej miniaturowej formy,
a nie urońić przytem nic z treści. Powo-
dzenie, jakim cieszą się w Niemczech te
drobne prace, dadzą się może wytłuma-
czyć także rytmem naszej epoki, dla któ-
rej potężne, kilkusetstronicowe dzieła są
powiedmy to otwarcie — postrachem.

*) Alfred Polgar. Ich bin Zeuge. Ber-
lin, Ernst Rowohlt, 1928; str. XVI i 288.

„Głodne miasto” Bechera *)

Zrezygnowana „kostnina” gorzkiej czło-
wieka pracy, upośledzonego przez życie
i przypadek, wypowiadana w wierszach
o różnym tempie i napięciu. Smutne o-
brazy głodnego miasta, milczące groźbą
zaciśniętych ust i pięści. Wyglądanie poza
mury fabryczne w świat dosytu i ciepła,
wrogi, nieprzystępny. Refleksje i remi-
niscencje



J. R. BECHER

scencje, chroniczny żal pod nieokreślonym
adresem. Spojrzenia wstecz na wojnę i jej
cmentarzyska, gdzie dziesięć tysięcy krzy-
żów stanęło na straży. Czasem ho’iesne
wspomnienie:

„Spät abends komme ich nach Haus.
Totmüd.
Viel Hunger gab's. Es war das alte Lied.
Und wollten doch so gerne glücklich
sein—...”

W takich komunałach, jak „Und
wollten doch so gerne glücklich sein”, wy-
powiada się tragedia głodnego miasta.
Mury fabryk odgradzają od świata, prze-
słaniają radość i szczęście, o którym się
wie, że gdzieś jest. Tradycja tej poezji
proletariackiej jest w Niemczech znacznie
starsza od wojny.

*) Die hungrige Stadt. Gedichte von
Johannes R. Becher. Wien, Agis-Verlag,
1927; str. 2nl. i 56 i 2nl.

NOWOŚCI
STEFAN KRZYWOSZEWSKI
**Z PRZEŻYĆ I WRAŻEŃ
MYŚLIWSKICH**
Z 24 ilustracjami
KAMILA MACKIEWICZA
CENA: w futer. zł. 20.—, w płpl. zł. 26.—,
w pł. zł. 28.—
GEBETHNER I WOLFF

Dzieje kościoła katolickiego. Lam-
brecht - Schneider w Berlinie wydał pię-
cio omowie dzieło Rosenstocka i Wittiga
„Das Alter der Kirche”, w którym podję-
to próbę wyczerpującego przedstawienia
powstania i rozwoju kościoła katolickiego.
Nowy przekład niemieckiej Biblii. U
Lambrechta - Schneidera w Berlinie u-
kazał się nowy przekład Biblii, dokonany
przez Bubera i Rosenzweiga. Jest to
pierwszy po Lutrze wartościowy przekład
Pisma Świętego. Tomaczom udało się nie-
tylko wierne oddanie tekstu, potrafili oni
także wydobyc poetyczność formy włas-
ciwej oryginałowi. Jednocześnie w tem sa-
mym wydawnictwie ogłasza Rosenzweig
przekład 92 hymnów i wierszy Jehudy ben
Halevi, arcydzieło sztuki tłumaczenia. W
całej literaturze niemieckiej niema — mo-
że poza przekładami Stefana George z
Danteo i Baudelaire’a — niczego coby
dorównywało przekładom Rosenzweiga.

O stosunki w kolonjach niemieckich.
Powieść Rudolfa von Haas „Die Meuterer”
i polemika, jaka wywiązała się między
autorem tej książki a dawnym dowódcą
kolonialnych wojsk niemieckich, rzuca
szczególne światło na przedwojenne sto-
sunki w kolonjach niemiecko - afrykań-
skich.

Język okresu rewolucji. Wydawnictwo
„Rabotnik Proswieszczenja” wydało książ-
kę prof. Szeliszczewa „Język okresu re-
wolucji”.

Pamiętnik Raszkolnikowa. W nakładzie
Pipera w Monachium ukazał się nowy tom
z rękopiśmiennej puściny po Dostojew-
skim, zawierający „Pamiętnik Raszkolniko-
wa” oraz szereg szkiców i listów do
„Winy i kary” i „Biesów”. Druga część
„Winy i kary” była zamierzona począt-
kowo jako pamiętnik Raszkolnikowa, i
ten pamiętnik, bardzo blady w porówna-
niu z późniejszą redakcją, dają nam o-
benie wydawcy, René Fülöp-Müller i
Friedrich Eckstein.

„Cztery stolice” Seifuliny. Nakładem
wydawnictwa „Proletarij” ukazały się
wrażenia Seifuliny z pobytu w Warszawie,
Pradze, Berlinie i Paryżu („Cztery sto-
lice”).

Nowy utwór Thomasa Manna. „Die
Neue Rundschau” umieściła w grudnio-
wym zeszycie nowy utwór Thomasa Man-
na „Die Höllenfahrt”.

O Thomasie Mannie. W nakładzie Wie-
gandta i Griebena w Berlinie ukazała się
książka Martina Havensteina o Thomasie
Mannie.

Clara Viebig. Clara Viebig jest w Niem-
czech autorką tych sfer, które w Polsce
wyczytują się w powieści Rodziewiczów-
ny, — ale zakrojoną na większą miarę.
Utworem najbardziej dla niej charakte-
rystycznym jest powieść p. t. „Die Rhein-
landstichter”. Ostatnia jej książka „Die
goldenen Berge” („Deutsche Verlags-An-
stalt, Stuttgart”), osnuta na tle życia, pracy
i walki w byłych niemieckich wiośniach,
napisana jest z wyczuciem i realizmem.
Ale wystarczy porównać książkę tę z po-
wieścią „Le passage d'un pont” Ramuza,
opartą na tem samym tle, by zrozumieć,
jak ogromną przepaść oddziela przecięt-
ną „dobrą książkę” od prawdziwego dzieła
sztuki.

„Kryształ wieczności”. Ukazał się tom
poezji Davida Luschnata p. t. „Kristall
der Ewigkeit”. Wszczętyja bezcelo-
wość, zaciekanie pustki, która jest
źródłem i ujściem wszystkiego, co powsta-
je i mija. Czasem przypomni się Fechner,
Rilke, ale nietylko może z winy autora, ile
z winy czytelnika, szukającego klucza do
tych wierszy, niepokojących nie samem
zagadnieniem, ale raczej jego sformuło-
waniem. Wiersz doskonały, melodyjny,
treść obciążona padaniem światów w ni-
cość.

Niesłusznie zapomniani. „Frankfurter
Zeitung” zaprowadziła rubrykę p. n. „Nie-
słusznie zapomniani”, w której przypomi-
nać będzie szereg arcydzieł literatury, nie-
słusznie zapomnianych.

Medycyna a literatura. We Francji po-
stało stowarzyszenie lekarzy - literatów,
z Duhamellem, Durtainem, Dominikiem,
Roumanem na czele. Organem oficjalnym
stowarzyszenia będzie miesięcznik „Epi-
daure”, redagowany wyłącznie przez le-
karzy a zajmujący się tylko sprawami
sztuki i literatury.

Wiersze japońskie Claudela. W listo-
padowym zeszycie „Revue des Vivants”
ukazały się wiersze japońskie Claudela.
Do jednego z nich p. t. „Śnieg” dorobił
muzkę Japończyk Kiwea Sakchi.

„Ogień” Barbusses’a na scenie. Barbus-
se przerobił swój „Ogień” na scenę. Pre-
miera odbędzie się w Moskwie.

Nieznane utwory de Costera. Odnale-
ziono nieznane utwory Charles’a de Co-
stera, m. in. nowe „Listy do Elizy”.

Dramat o Carmen. Poeta hiszpański
Juan Pidal napisał dramat o Carmen,
wzyskując po raz pierwszy cały bogaty
materiał tegoż wątku literackiego.

Pani Hamsun jako autorka. W nakła-
dzie Alberta Langena w Monachium uka-
zało się opowiadanie napisane przez żonę
Knut’a Hamsuna.

Olbrzymia latarnia magiczna. Na da-
chu jednego z teatrów nowoyorskich zbu-
dowano olbrzymią latarnię magiczną o si-
le 4 milardów świec. Będzie ona mogła
rzucać na ekran obrazy 50-metrowej wy-
sokości, widoczne z odległości 3 kilome-
trów.

NOWOŚCI
JÓZEF GARDECKI
Było nas trzech
Powieść bez romansu
CENA ZŁ. 6.—
GEBETHNER I WOLFF

ADOLF NOWACZYŃSKI

Piórem zdobyte państwo

„O Litwie, dalibóg, że mniej wiem niż o Chinach”
(Kamerjunker
w „Dziadach” Mickiewicza)

W narodowym rozbudzeniu i odrodzeniu litewskim, podobnie zresztą jak w czeskim i irlandzkim, wielką a raczej największą rolę odgrywa piśmiennictwo. W pierwszej fazie procesu konsolidowania się narodowości piśmiennictwo nie leży na peryferji warstwy ludowej, nie jest poza nią czy nad nią, jak w narodach państwowo zorganizowanych, ale jest z samego ludu i tkwi w samym ludzie, nie jest nadbudową czy gmachem nadwartości idealnych, ale tworzy sam fundament, kamień węgielny samookreślenia i wyodrębnienia, na których dopiero może wznieść się wielka wież gromadzka społeczności już wyodrębnionej, na czym dopiero funduje się nawa państwowości i fasada państwowa. Twórczość samorodna ludu, jego ogółowy geniusz improwizacyjny, imaginacyjny, wyobraźniowy, — to warunek sine qua non, pieśń gminna, arka przymierza między starym, zamierzonym a nowymi laty, nowoczesnością. Lud, który obdarzony jest wyobraźnią stwarzającą własną mitologję, własne epos, własną pieśń, musi mieć też swoje państwo własne; może je stracić, ale wienien je odzyskać. Albowiem jest twórcą, odrębną, inną. I daje nowy ton w symfonji ludzkości.

To też tak w odrodzeniu narodowym czeskim, irlandzkim, jak i w ostatnim litewskim, ci, którzy odgrzebuja z niepamięci „powieści gminu”, pionierowie twórczości pierwszej, nieświadomej, impulsywnej, prymitywnej, wykonywują pracę prymordialną, podstawową, zasadniczą, wytwarzają główną wież, główne spoi-

ło organicznej solidarności, dają ten zespół komórek jednych i zdrowych, z których zrasta się państwo, z którego wyższego rzędu, t. j. wspólnota językowa, a wreszcie korona całosci — naród skrzepiony i stwardniały w państwo.

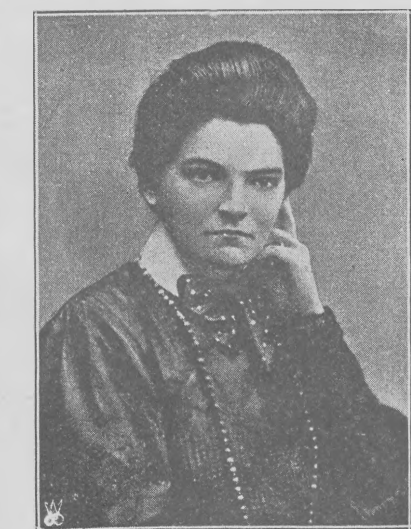
Jak tedy w odrodzeniu narodowości a potem państwowości czeskiej i irlandzkiej tak i w równie pięknym i wzruszającym renesansie dzisiejszej upaństwowionej Litwy ludzie pióra, skromne pieszczoty napracowały i namozoliły się ciężko, spełniając przedewszystkiem zadanie najprostsze, zadanie znośnienia miodu „powieści gminnej” do barci, zadanie wyszukiwania, odnajdywania i magazynowania tego wszystkiego co kiedyś w zaraniach wytworzył, wyśpiewał gmin, lud, włóściastwo.

Niewielka to rasa ci Litwini i nie duży to kraj ta Litwa, ale jeżeli mowa o prądach dyspozycyjnych charakteru i intelektu gromadzkiego, jeżeli mowa o możliwościach rozwoju i rozrostu kulturalnego, o okolicznościach sprzyjających intelektualnym od nich niespodziankom, jeżeli mowa o złotej grudzie sztuki, drzemającej w pokładach tej rasy, — to szczupłość tego terytorjum i znikoma cyfra ludności jak nigdzie indziej tak i tutaj nie wpływa ujemnie na zadatki wielkiej i wspaniałej przyszłości. Ta małość bowiem bywa zwykle koeficientem właśnie kulturalnej i artystycznej wielkości, bogatej sztuki i zdobywczej literatury. Nie trzeba zaraz wlewać koniecznie przykładu starej Hellady, aby sobie przypomnieć już z naszych dziejów, jak właśnie ta kresowa „Graecia capta” duchowo, moralnie i intelektualnie właściwie rząd dusz w Polsce przez trzy wieki sprawowała. Florencia Medyceuszów była mniejsza. A Belgja? Holandia? Szwajcaria? Norwegja naród także czysto chłopski, w cyfrze jeszcze

mniejszy, a iluż to oprócz Ibsena, Björnsona, Hamsuna, Amundsen wydał poniajszych ale światowych znakomitości? Belgja w jednej generacji i regentów i ministrów doskonałych i Verhaerena, Rodenbacha, Demoldera, Lemonniera, Girauda, Jilkina, van Lerberghego, Crommelyncka, Meuniera! Merciera! W minimalnej Danji niema analfabety na lekarstwo, jest 400 księgarń, 50 pisarzy subwencjonowanych przez państwo, a jeden laureat Nobla przypada na 55.000 mieszkańców....

Jakżeby tedy nam godziło się patrzeć przez lunetę lub mikroskop na to państwo z tej racji że małe, skoro właśnie nam samym jeszcze piętnaście lat temu jako „małemu” narodowi cały glob ziemski odmawiał prawa samorządzenia się na własnym terytorjum?

Jakże nikczemna i zła jest tedy natura ludzka, chyba ogólnoludzka, chyba cała species humana, skoro wczorajszemu niewolnik, bity i poniewierany, często łańcuchy rwały ale często tchórzliwie skomlały, śmiały — ledwie że wyzwolony i jeszcze niewolnictwo w duszy noszący — czelnie odmawiał prawa państwowego samookreślenia i bytu samoistnego rasie, z której zresztą tyle pożywnych i ożywczych soków wysłał?



M. PECKAUSKAITE

Zdaje się najwybitniejszy beletrystyczny talent kobiety. Na forum publicznym Litwinki wogóle grają dużą rolę i w partiach politycznych. W „Chadecji”, czyli w „Krikščionach”, działa Galdikienė, w socjaldemokracji — Eurenčienė, w literaturze — Przybylska i Peszkowska. Przybylska, Iwanowska z domu, córka rzeźbiarza i literata znanego w dawnej kolonii monachijskiej, pisze pod pseudonimem „Sowy z Zielonej Gęstwy” („Laudina Peleda”) powieści mocno radykalne, grzebiąc się w realizmie niedoli i nędzy, zawsze posępna i pesymistyczna. Znacznie pogodniejsza, mocniejsza w stylu i formie jest druga, również Polka, również z ziemianńskiego środowiska: „Czarownica z Góry Szatryji” („Szatrytes Ragana”), Peszkowska, po matce z rodziny Szukstów. Peckauskaitė odebrała staranne i solidne wykształcenie. Po Instytucie Katarzyńskim w Petersburgu studiowała pedagogię w Zurichu i jest uczennicą słynnego prof. Förstera. Dłuższy pobyt zagranicą wpłynął też bardzo na rozszerzenie horyzontów myślowych i obserwacyjnych. Tłumaczka Sienkiewicza „W pustyni i puszczy”, z profesji nauczycielka i organizatorka szkolna, zaczęła od drobnych gawęd i nowel, by potem zaryzykować dwie powieści, z których „Stara opowieść” i „Wincenty Stonis” cieszą się dużym uznaniem.

O Litwy możliwościach kulturalnego rozwoju i rozmachu jeżeli mowa, o promieniowaniu jej duchowości w przyszłości jeżeli kwestia, to tutaj małość terytorjum państwowego nie wchodzi w grę zupełnie. I czy jakiś kraj jest rozleglejszy o kilkadziesiąt setek mil kwadratowych czy nie, czy odebrał już fikcyjnie czy nie fikcyjnie mu przynależną Alzację czy Ulster — to nie tylko na rozwój jego kulturalnych, t. j. nieprzemijających, wartości ale nawet na prestige państwowy i wagę w opinii narodów wcale nie wpływa. I bez Strasburga Francja grała na pierwszych skrzypcach w koncercie europejskim. Z Goltatem o sto kilo cięższym może rywalizować Dawid nie tylko na zapasniczej arenie. Mała zaś Szwajcaria przetrwała i wielkie Napoleona i trzy wielkie cesarstwa. Bywają zaś zaokrąglenia terytorjalne, które wprowadzają łechcą rewindykacyjne ambicje, ale równocześnie stają kością w gardle i wszczynają ropienie organizmu... ot, choćby Ulster...

Porównanie to nastrocza się tem łatwiej jeżeli się zważy, że odrodzenie narodowe Litwinów w swej genezie i w swym przebiegu i w swym niepospolitym uroku dla każdego szlachetniej problematy narodowościowej przemysłającego bliźniaczo podobne jest do odrodzenia gaelickiego, irlandzkiego. Już psychika tych dwóch narodów włóściastych, katolickich, romantycznych i do mistycyzmu inklinujących, jest omal że identyczna, fenomenalnie zbliżona. To są jakieś jakby sobowtóry etniczne. Już w pięknie pejzażu jakby ta sama melancholia, ten sam smutek... W charakterze i obyczajowości co chwila,

co moment analogie i analogje. Ten sam panteizm i w mitologii; w klechdach—to samo autropomorfizowanie sił i potęg przyrody, te same gusła i zabobony, czarownictwa, strachy i obrzędy starodawn. W obyczajowości i w obrzędowości te same formy i celebry. W charakterach ludów obojga ta sama szczerowość, impulsywność, popędliwość, zapalczywość, kłótniwość, zaciętość, upór i przekora. I ten sam alkoholizm. I to samo piniactwo. I te same przymioty i wady rozpętanej wyobraźni. I te same rytmy i zawrozenia w „dajnach”, rycerskich pieśniach i opowieściach, i w „raudach” pogrzebowych. I to samo współżycie ze zmarłymi, z duchami, z „the others”. No i wreszcie ten sam wywalczony „home-rule”, zmieniony na „Rome-rule”, w obu „pony-states” t. j. supremacja nie tylko duchowa ale faktyczna ucywilnionego niejako kleru jako „rządu dusz”. Są oczywiście i różnice historyczno-polityczne. Tam Eryn wynarodowiony ogniem i mieczem purytanizmu i protestantyzmu, wyzwolił się tylko połowicznie po dziesięciu ustulaciach potworów, sadystycznego ucisku landlordów, diehardów i „zjadaczy żelaza”, ironeatorów, — a wyzwolony stanął w słońcu błąd, bezkryty, bezsilny, znękany i do



B. SRUOGA

Jedną z czołowych postaci najmłodszych, grupujących się koło wytwornego miesięcznika „Baras”. Podczas gdy starsza generacja drukuje swe prace w tygodniku „Kriuvė”, podobnym w stylu do warszawskiego „Świata”, falanga młodych założyła pismo, narażając je na brak materialnego poparcia i wieszono. Jest teoretykiem tej grupy, która reprezentuje już esprit nouveau, nacisk kładzie na walory czystej formy i kultury sztuki, unikając jakichkolwiek tendencji społecznych, narodowych, politycznych, religijnych. W „Barasie” omawiają się problemy najnowszych kierunków poetyckich, za protoplastę uważa się Apollinaire’a, który po ojcu był Litwinem i nazywał się Kostrowicki. Młodzi z grupy „Barasa”, wszechstronnie wykształceni, przykładają już wielką wagę do sztuki języka i osiągnęli w tym kierunku wielkie rezultaty. Tu schron i arenę znaleźli litewscy dadaści, ekspresjonści, futurysty, urbanisci, super-realisty, formiści. Wpływy Majakowskiego i Jesienina krzyżują się z sugestiami i hipnozą najnowszych paryskich talentów. Przewodzi im Sruoga, również najciekawszy recenzent teatralny obok Sutkusa i Bicanasa, w którego nazwisku już odczuwamy srogość, z jaką cenzuruje z punktu artystycznego takie świeże talenty dramatopisarskie, jak np. Vaicunas, Zemkalnis, Jurkunas-Seinius i inni.

żadnej politycznej roli się nie kwalifikujący. Tutaj zaś wielowiekowe, zgodne, harmonijne życie, całkowita samodzielność, „subkingdom” Litwy, z jej własnym skarbem, wojskiem, hetmanem, kanclerzem, ustawodawstwem i z jakąś stałą, przedziwną, nigdzie niebywałą wzajemną osmozą, gdzie całe rody, całe klany białoruskie i litewskie się polonizowały, a potem całe rodziny najrdzenniejsze polskie znowu litwinizowały, gdzie Litwa dostarczała Polsce najgorętszych i najbardziej heroicznych bohaterów całosci i nieetykarności wspólnego imperjum, a Polska Litwie najczystszych i najmaksymalniejszych rzeczników separatyzmu i pełnej suwerenności. I oto znowu różnica, że po wieku ciężkiego ale wspólnego ucisku zbiegami okoliczności szczęśliwych i ta „Irlandja Polski” otrzymuje niepodległość kompletną, niestety na to tylko, by w pierwszym dziesięciu latach zwrócić się frontem bojowym przeciw swemu wielowiekowemu współlokatorowi, patronowi, dobroczyńcy i obrońcy.

Jest dalej różnica ustosunkowań między Anglią i Irlandją a Polską i Litwą, zasadzającą się na odmiennym wyznaniu religijnym Anglii i Irlandji i wypływających stąd nieprzejeźdźalnych animozjach i konfliktach. Polityczne zaś analogie nastroczają się znowu przedewszystkiem między angielską enclawą w Irlandji, t. j. Ulsterem, a polską enclawą na Białorusi, t. j. Wilnem, i tu i tam kości mi niezgody między rozseparowanymi narodami.

Bardzo ciekawa i ważna analogia w obu wyzwolonych państwach polega na tem, że tak w Erynie jak i w Litewie bu-

dzicielami, bojownikami i chorążymi są mowiedzy narodowej, a przedewszystkiem emancypacji językowej, byli uczeni z narodowości suwerennej. W obu odrodzeniach procesach pierwszymi pionierami, odgrzebywającymi na wierzch skarby językowe, klejnoty folkloru, bogactwa kronik, rapsodów, klechd, podań, mitów i legend, są dla Erynu Anglicy, dla Litwy Polacy. To czego dla Czechów dokonał Jungmann, tego odkopywania i galwanizowania gaelicko-irlandzko-celtyckich skarbow zatajonych, podjęli się stuprocentowi Anglosasi: Stokes, Nuts, Douglas Hyde, Max Müller i inni. W dziele zaś odwalenia płyty grobowej nad zakopaną świątynią Kryvé-Kryvejtę, w dziele wyciągnięcia ze świrunków i lamusów, zakrysty, strychów i bibliotek klasztornych zapomnianych foljałów, w dziele odpylania i stawiania na czystym... języka litewskiego, Olimpu, mitologii, legend, dziejów bajecznych i istotnych, w dziele wyciągnięcia z głębin Świtezi zatopionego dzwonu... „Warpasa”... dopomogli waleń (obok nielicznych Niemców pruskich) dzisiaj tak w Litwie znienawidzeni „Lenkas”.

Pozwólmy tu sobie raz ich przynajmniej pobieżnie zestawić i przypomnieć od początków. W w. XVI: Kojalowicz: „Historia Lithuaniae”, Herbarz rycerstwa W. Ks. Lit-wskiego”. W. XVII: Czacki: „O litewskich i polskich prawach”, Leleweł: „Rzut oka na dawnosć narodów litewskich”, Jaroszewicz: „Obrazy Litwy”, Narbut: „Dzieje narodu litewskiego”, Jucewicz: „Wspomnienia Żmudzi”, „Pieśni litewskie”, Litwa pod względem historycznym starożytnych zabytków i obyczajów”, Kraszewski: „Wilno od jego początku do r. 1750”, „Anafielas”, Kondratowicz: „Margier”, „Trzy córki Litwina”, „Cora Piastów”, Brzozowski: „Pieśń ludu z oko-

lic Aleksoty”, Kolberg: „Pieśni ludu litewskiego”, Mierzyński: „Zródła do mitologii litewskiej od Tacyty do końca w. XIII”, Latkowski: „Mendog, król litewski”, Rozwadowski: „Obszar języka litewskiego”, Krzywicki: „Żmudź starożytna” i t. d.

Oto i pobieżny wykaz prac magistratycznych, na których się opiera renesans Litwy. Dodajmy do tego jeszcze „Zbiory podań, klechd i pieśni” Czczotta, pierwsze kalendarze ludowe Iwińskiego, pierwszy słownik litewski Szyrwida (1629). Dodajmy dalej „Zbiór melodji ludu litewskiego”, wydany przez krakowską Akademię Umiejętności! A potem dodajmy jeszcze ten szereg dzieł i arcydzieł polskich, apoteozujących dzieje, legendy, mity litewskie, krajoznawstwo litewskie, życie chłopów, zaścianków, puszczy, ten cały świat litewski, odkryty nam przez tróję romantyczną, przez Chodźkę, Syrokomlę, Rzewuskiego, Odyńca, Bernatowicza, przez Orzeszkową, Rodziewiczównę, Weissenhoffa i tylu tylu innych!

Toż przecież my dawniej właściwie lepiej znaliśmy i dokładniej znali Litwę i jej dzieje i jej obyczaje i jej mieszkańców niż rodzinną, rdzenną Polskę! Toż przecież my od czasów kresowych romantyków naszych uczuciowo, myślowo i marteniowo więcej byliśmy związani z Litwą jak z własną centralną Polską! Przynajmniej przez te sto lat niewoli i dopiero teraz w ostatnich czasach znowu wróciłmy do tego stanu zobojętnienia i oziębienia, który Mickiewicz charakteryzuje słowami Kamerjunki: „ra w salonach warszawskich koło r. 1828 („Dziady”): „O Litwie, dalibóg, że mniej wiem niż o Chinach”.

Polacy tedy dobrze się zasłużyli oczywiście litewskiej. Oni to w lwiej części, ci uczeni badacze-szperacze, odkrywawcy, oni to, ci gente Poloni natione Lithuani,



VYDUNAS

Nomen magnum współczesnego piśmiennictwa litewskiego. Może ich Wyspiański czy Miciński, może Verhaeren, może Syngel lub Yeats. Wysokiej miary reprezentatywna indywidualność, jak oni wszyscy biedaki w bardzo skromnych żyjących warunkach. Ostatnio nawet zaprzął się wielki poeta, poczuł obowiązek narodowego wiedziona, do codziennej brzydkiej dziennikarskiej pracy. Trzeba żyć, trzeba żyć. Wic redaguje małe prowincjonalne piśmko „Naujienas Tilses Kalejvis” („Nowego Pielgrzyma Tylżyckiego”). W Tylży bowiem mieszka ten największy pisarz litewski, poza granicami swego państwa, w Prusach Wschodnich, t. j. w Piononcie litewskiej, gdzie wychodziły wszystkie litewskie druki za Moskalą (w latach 1866 — 1904 przeszło trzy miliony druków tych poszło w świat), gdzie wydawano pierwsze piśmko litewskie. Rządowi nawet zagląda i odwiedza stolicę swego kraju, gdyż go tam mierz i wstrętem napawa to wszystko, co takimi biczami satyry smagali też zmarły Kudirka i żyjący Vaicunas. Jak Orkan nie rusza się ze swego Podhala, tak Vydas nie rusza się omal ze swojej Małej Litwy, gdzie się w powiecie Szkielskim urodził i gdzie jego ojciec był nauczycielem łaciny i greki w Pihkalinach. Vydas studiował przeprowadził gruntownie i po dawnemu, ma za sobą uniwersytety Halle i Lipsk, „deutsche Bildung” i solidny, poważny, męski i w najlepszym tego słowa znaczeniu niemiecki pogląd na państwo i dostojenstwo pisarza, nie bawidamka i liweranta smakolików, ale wychowawcy swej rasy, edukatora, apostoła, bojownika. To też nie można powiedzieć, żeby we własnej ojczyźnie cieszył się zbyt wielką popularnością. Jest tak „znany i poczytny”, jak u nas Kasprowicz. Dla dzisiejszej generacji litewskiej za trudny, za głęboki, mistyczny, filozoficzny, „nienaski”, zanadto może i niemiecką metafizyką obciążony. Wajdelota Vydas ma dzisiaj przeszło lat 60. Jest więc zatem patriarchą i nestorem litewskiej literatury. Całe okresy życia przeszły mu na nauczaniu młodszych pokoleń. Był profesorem w Sejnach, w Tylży, a ten ton nauczycielski, mentorski, misjonarski wybił też piętno na jego górnej, podniosłej i nie dla przeciętnych zjadaczy obroku beletrystycznego przeznaczonej twórczości. Jeżeli jeszcze z kogo z naszych ma coś w swym patosie proroczym poeta, to z Norwida. Podobnie bowiem jest też nielaty i nieprzystępny, prawdziwy hartiarz z wyżyn, z regionów chmurowych. Na użytek dnia codziennego dla szerokich rzesz potrafił dawać także rzeczy popularnyżatorsko-naukowe: „Dzieje Litwy w przeszłości i teraźniejszości”, „Einführung in die litauische Sprache” po niemiecku. Napisał też jedną komedję współczesną. Właściwa twórczość jego — to wielkie trylogie symboliczne, uroczyste, patriotyczne misterja: „Cienie przodków”, „Wieczny ogień”, „Szczełki gwiazd”, sceniczne i niesceniczne poematy, o których ci, co je czytali, mówią z największym zbożnym uniesieniem, korząc się przed wieszczem natchnieniem poety-filozofa, płonącego wspaniałe znicza piśmiennictwa nowej, zmartwychwstałej Litwy. Vydas jest obecnie tłumaczony na języki niemiecki i rosyjski. Czy nie byłby czas odkryć i dla Polski ten wielki talent, ten bardziej, byłby czas odkryć i dla Polski ten wielki talent, ten bardziej, że w stosunku do nas podobno objętyjny i spokojny w afektach?



MACULIS-MACULEVICIUS MAIRONIS

Na licznych patriotycznych obchodach śpiewają chóry tego barda muzycznego narodu (który nam dał Moniuszkę i Karłowicza) wspaniałą kantatę „Bądź pozdrowiony kraju ze snu rozbudzony”. Autor tekstu do tego hymnu, który jest tem mniej więcej czem u nas w pewnej mierze „Gaude Mater Polonia” lub „Rota”, nazywa się obecnie Maculis, a ongiś zwał się Maculevicius. Osoba to duchowna, monsignor, prałat żmudzkiej kapituły, ale chrześcijańskimi uczuciami względem wrogów się nie kieruje. Jest bowiem widomą głową i niejako wodzem duchowym tej części kleru litewskiego, z ułóściastych warstw idącego, która żyje tylko nienawiścią do obszarników i junkrów polskich i która zemstę na Polakach apostołuje jako świętą wojnę i wyprawę krzyżową na Saracenów i Bisumanów. Jest wśród tego kleru duży procent Polaków, których możnaby przezywać niby renegatami, gdyby u nas w społeczeństwie polskim nie było znowu tylu genetycznie i somatycznie rasowo Niemców, co właśnie w epoce naszej niewoli i niedoli, prześladowań i ucisków, nie tylko się polszczyli, ale awangardę patriotyzmu tworzyli. Włodocnie ciemnieli i upośledzone narody mają w sobie silniejszy magnes asymilacyjny... Prałat żmudzkiej kapituły, kanauinikas Maculis, nominalnie największy dziś poeta laureatus Litwy, który po Bekwarku Baronasie (Baranowskim) odziedziczył reprezentacyjną lutnię, nie tai się z abominacją do Polaków. Uczuciom swoim duża dółka folę w długim poemacie, opisującym historyczne dole i niedole litewskiego narodu, p. t. „...asze niedole” i w dramacie pięciaktowym „Kestucio mirtis”, niejako odpowiedzią na dramat Asnyka o Kiejstucie. Wychowanek kijowskiego uniwersytetu, potem kowieńskiego seminarjum, od r. 1888 zostaje profesorem katolickiej akademii petersburskiej, gdzie przebywa przez lat przeszło piętnaście. Oczytany w literaturze polskiej, w Asnyku, Konopnickiej, Kasprowicz, Tetmajerze, w pierwszym swym poemacie pisanym po polsku „Z nad Biruty przez Halinę”, jak zresztą i w następnych, wyraźnie wpływem polskiej poezji ulega. Rozkochany w litewskich krajoznawcach, przedewszystkiem Rozbiewie, szeroko i z rozkłiewaniem maluje pejzaże z nad Dubissy, z nad niemna, któremu liczne inkantacje poświęca. Podobnie jak Baronas nastrojony jest stale pesymistycznie, rezygnacyjnie, jezajaszowo bolejąc nad tragedją swego przybranego narodu, rozebranego między trzech sąsiadów — Rosję, Prusy i Polskę — i przez tych trzech sąsiadów systematycznie wynaradawianego. Opanowawszy mistrzowsko język litewski daje w nim dzieła wielkie. Już tytuły jego utworów patetyczno-lyrycznych wskazują tu generalny jego patriotyczny „Weltschmerz”: „Przez cierpienia do sławy” lub „Gdzie zbawca?...”, dramatyczne libretto do opery. Najbardziej popularna jest jego powieść „Magda z Rosien”, najcharakterystyczniejsza — „Nasze niedole”, gdzie dał poprostu rymowaną jakby kronikę najostatniejszych czasów, kronikę — Gehenne. Dziś już przeszło 62-letni prałat, w życiu prywatnym jest sobie pono wytwornym, światowym l'abbé, zagrzebanym w suchych intelektualnych pracach i planach.

oni to, często bene nati possessionati, Litwomani i Litwomaniacy, rozbudowali z gruzów ten stary kastel dawnej mocarstwowej Litwy starożytnej, pobiałe białoruską przedtem zeń usunawszy, a do omal gotowych już komnat królewskich tego kastelu, do apartamentów Mindowego, Kiejstuta, Witolda zaczęli najpierw z nieufnością a potem śmiejąc dopiero wchodzić litewskie... Ryńko Ragisy...

Im to też, tym zapalonym Litwomaniom, tym Donat-Malinowskim, tym Do-woyna-Sylwestrowiczom, tym „tutejszym” i tym „krajowym”, tym biskupom wiskupom Baranowskim, też trzeba przypisać ten, że go tak nazwiemy, bovaryzm litewski dzisiejszy, t. j. tę ogólną manję wszechnarodową uchodzenia za coś większego, niż się jest, za wielkie państwo odrazu, które z miejsca chce mieć wszystko co litewskie u siebie, nie znosi ani jednej piedzi ziemi (choćby białoruskiej) pod obcym rękim i które wciąż chce powoływać się na to, że kiedyś, w zamierzchłych czasach, było mocarstwem... miało Vytautasów i Skirgailów... i „zwy-cieżało” pod Grunwaldem...



J. JABLONSKIS

Wytrawny badacz, znawca i ekspert w kwestiach językowych. Litewski Nitsch, Łoś i Kryński równocześnie. Tropi błędy językowe i funduje słownik literacki, własną pracą zastępując akademję.

Za ten przerost historycyzmu, za to przekarmianie się Litwinów wielkimi królewskimi tradycjami odpowiedzialni są w pewnej mierze ci nasi pisarze, którzy jak pater patriae Lithuaniae... Kraszewski, jak Antanas Baronas... i wielu wielu innych, nazbyt swymi „Anafielasami”, lub jak Baranowski swemi trenami i elegiami, dawną wielkość państwa litewsko-żmudzkiego oplakującymi, rozbudowali megalomanię tego dziwnie żywą imaginacją obdarzo-



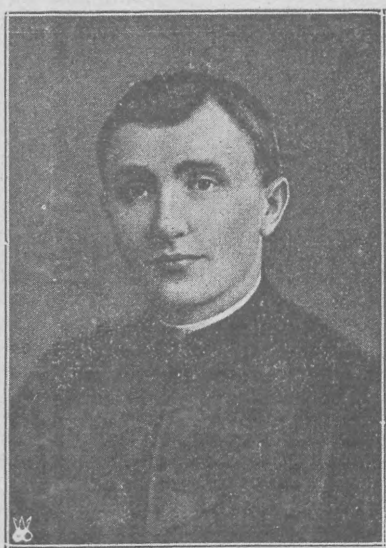
A. JAKSTAS - DAMBRAUSKAS

Monsignore, kanauninkas kapituły żmudzkiej. Jedna z najsympatyczniejszych postaci Parnasu kowieńskiego, no i najoryginalniejszych. Uczony astronom i równocześnie pracuje w „Przeglądzie Katolickim” i i Związku św. Kazimierza. Jako działacz litewski pisał po... polsku prace w „Przeglądzie Katolickim” i w Encyklopedji Kościelnej. Od rządu rosyjskiego zesłany do nowogrodzkiej gubernji i przesładowany. Uczony w całkiem europejskim stylu, tem samem piórem pisze po polsku studjum astronomiczne o „kolewacznym we wszechświecie” i zbiór liryczny „Dajno skrynele” („Skryniczka pieśni”). Monsignore trzyma się zdaleka od polityki, tak w sympatiach narodowych jak w antypatiach umiarkowany i spokojny. W każdym calu Europejczyk, jeden z nielicznych, na których liczyć może przyszły aljans obu narodów, o ile bez krzywdy narodu litewskiego ufundowany.

nego, pozornie tylko ociężałego narodu. Historycyzm, przesadny historycyzm historycyzm i kult wielkich tradycji i wielkich kunigajstisów, rozbudzony przez pisarzy polskiego pochodzenia, wywołał ten bovaryzm litewski, to niebezpieczeństwo z rzeczywistością ekonomiczną i gospodarczą, ba, nawet pogardę dla niej, o ile staje w kolizji z wypełnieniem któregoś ze snów o potęgę, z oddaniem jakiejś polaci ziemi, w której są pewne pamiątki historyczne, pewne ruiny, pewne... ruiny... pewne regalia naufragio erupia...

To też obserwując ten bovaryzm litewski nawet z dość bliska, ex autopsia, zdumiewać się przyjdzie, skąd równocze-

śnie w tym narodzie, który właściwie niecierpi na napęczenie ambicji suwerenności i prestige'owych, w narodzie tak pewnym już swego ustabilizowania na mapie, ba, tak nawet zaczajonym już na ekspansję... równocześnie we wszystkich srodowiskach i koterjach miarodajnej inteligencji panuje jakiś przedziwny lęk, przedziwna obawa przed ponownym wchłonięciem Litwinów przez kulturę polską, nietylko nawet przez państwowość, ile właśnie przez kulturę. Mamy tu zatem do czynienia z typowym objawem t. zw. „megalomanji prześladowczej”, częściej i u in-



M. VAITKUS

Ksiądz i poeta starszej daty, jeszcze z generacji prostych i naiwnych „słowików leśnych”. Opiewał i egzaltował się przeważnie urokami przyrody, z czego powstały skromne zbiorki, jak „Pstrokaczny”, „Światła i kreski”, „Swity”, „Promyki”, „Utajone szczęście” i t. p. Wybitnie katolicki pieśniarz raczej dla dorastającej młodzi, raz puścił się na dramatyczny utwór p. t. „Córa gwiazdy”, w którym idea chrześcijańska zwycięża pogaństwo. Niestety, próba ta nie udała się.

dywiduów i w collectivach, w tym razie zupełnie zbitecznej, bo bezpodstawnej. Mamy bowiem tysiące dowodów na to, że jak do połowy w XIX Litwini się polonizowali, tak od połowy a już bezwzględnie przy końcu w XIX zaczął się proces odwrotny litwinizowania Polaków lub powrotu polonizowanych Litwinów na łono właściwej macierzy. Z niebezpieczeństwo jest zatem w swej przesadzie stanowczo urojone i nie realne. W gorączkowym oporze przeciw grożącej „pénétration pacifique”, przeciw przenikaniu kulturalne-



S. KYMANTAITE-CIURLIONIENE

Wdowa po znakomitym malarzu-wizjonerze, którego imienia galerja obrazów istnieje w Kownie, wychowanka krakowskiej akademji i największego dotychczas ucznia i epigona Wypiańskiego - malarza. Z ziemiankiej rodziny Kimontów, kształciła się w Katarzyskim Instytucie w Petersburgu poczem cztery lata w Krakowie w Baraneum, gdzie istniała cała kolonia Litwinów. Tam też panna Kymantaite poznała swego męża. Obecnie mieszka w Kownie. Redaguje wraz z kapitanem Różyksem wojskowe pismo „Karys”, gdzie zamieszcza swoje popularne „Listy żołnierskie”. Równocześnie pisze opowiadania dla dzieci, wypisy dla szkół wojskowych, gawędy, satyry, kłechdy i wierszyki. O Polsce wspomina podobno z melancholią, ale bez zazdrości.

mu polskiemu zapominają Litwini o tem, że kiedy na rzecz Polski i na beneficję jej prestige'u i chwały stracili istotnie Kościuszków (oniś prawosławnych Białorusinów), Rętytano, Traugutów (Bragott-rodzina niemiecka), dalej Mickiewicz, Sienkiewicz, Norwida, Orzeszkowa, Domejke, Chodźkę, Odyńca, Karłowicza, Moniuszkę i t. p., to bądź co bądź na rzecz Ni-miec straciła Litwa... Kanta, a na rzecz Rosji... Dostojewskiego, obu z lit-wskich rodzin się wywodzących. Litewską „megalomanią prześladowczą”, zresztą miejscami nawet humorystyczną, no i zresztą psychologicznie zrozumiałą, bo wspólna wszystkim narodom bezpaństwowym „na dorobku”, stanowczo tedy wyolbrzymia i egzageruje niebezpieczeństwo „Lenkasów”, bagatelizując równocześnie „Drang nad Osten...” „Vokietis...” Wobec nadchodzącego „accord politique” raczej to nam, opierającym się na doświadczeniach teraźniejszych, obawiać się nale-

ży, abyśmy w procesie wzajemnej osmozy nie dostarczali właśnie Litwie za dużo tego gatunku intelektualnego, lachons le mot, nawozu („Kulturdünger”), który przy znacznej polskiej odśrodkowości i przeroście indywidualizmu ostrzem swego poczucia i swej przekory narodowej właśnie nie zwróciłby się przeciw macierzy, jak to już tyle razy przykładów na Litwie mieliśmy w dawnych wiekach (Janusz, Magdalena, Konstanty...), w dzisiejszych wileńskich „krajowcach”, no i w dzisiejszym kowieńskim sztabie generalnym, w ministerstwach, w rządzie, w dyplomacji i w literaturze.

Przedewszystkiem w literaturze... w piśmiennictwie.

Piśmiennictwo to bowiem, dobrze wzmocnione żywiołem ex-polskim, „gente Poloni natione Lithuani”, jest, istnieje, rozwija się bujnie, rosocząto, w coraz to cieńsze i wytworniejsze gałązki. I jest to piśmiennictwo pancerzem, który chroni i uchroni naród przed wszelkimi zakusami z zewnątrz, przed zachłannościami i łapczywościami wszelkich sąsiednich imperjalizmów, starych i nowych. Oparte i ufundowane na prastarych zabytkach folkloru, na „dajnach” i „raudach” („sokach z gle-



V. KREVE-MICKEVICIUS

Dziwnie prezentować tego barda nienawidzi i przywódcę duchowego tych wszystkich, co zaprzysięgli nam dożgonną zemstę, a noszącego nazwisko tego naszego największego poety narodowego, który swoje największe arcydzieło zaczął od słów:

„Teuynė Lietuwa! Kays sveikate tu braugi
Ivertina tave tik sveitinioj pedagej
Taves neteke...”

Ale te inwokację do straconej ojczyzny litewskiej pisał po polsku... Tem jeszcze dziwniej, że ten chorąży ideowy dziko i wulgarnie szowinistycznych szaulisów zaczynał przecież swą działalność literacką wśród nas, żeśmy go kiedyś znali jako debiutanta w Młodej Polsce, że są polskie kalendarze i antologie z pierwocinami jego wielkiego talentu, że się wyholował na łonie lwowskiej P. P. S., tak jak Radek na łonie krakowskiej. Największy dziś bezsprzecznie pisarz „Młodej Litwy”, „tautos sir-dis”, „serce narodu”, z pochodzenia wywodzi się z tej samej szlachty szaraczkowej zaściankowej, z której szedł Adamas. Jak zawsze najzdolniejszy z rodzeństwa, miał iść na teologję i zostać księdzem. Samouczek, ciężko przepychający się przez wiek górny i chmurny, zaczął też od seminarjum wileńskiego, ale rychło przeszedł na uniwersytet kijowski, gdzie na filozofji studiował specjalnie sanskryt. Z Kijowa przenosi się do Wiednia, z Wiednia do Lwowa, i tu osiada na dłużej. Jest stałym współpracownikiem Wyslouchowego „Przyjaciela Ludu” i tu drukuje szereg jaskrawych naturalistyczno-dekadentich nowel i powiastek. Po jakimś czasie przenosi się znów do Kijowa, gdzie za dysertację o Buddzie dostaje złoty medal. Chory nieco na pierś, jedzie do Baku, gdzie jak tyłu innych zaprzęga się do orki belferskiej w gimnazjum realnem. Pod wpływem Ludwika Giry zaczyna się w nim rozbudzać świadomość przynależności do wyzwalającego się z kajdan niewoli narodu. Szybko przypomina sobie tę gwarę wiejską, którą rozmawiał będąc chłopcem w zaścianku szlacheczkim. I już oto przyswaja swojemu językowi litewskiemu indyjską „Kalidase”, składając królewski prezent ojczyźnie. I dalej wszczyna gorączkową czynność twórczą na podstawach regionalistycznego badania i wykopywania skarbów folklorystycznych z południowej Litwy. Młody poeta, mający już w swem dorobku piękne liryki, teraz przetrzuca się do dramatu. Wielkie imię zyskuje dwoma historycznymi freskami, t. j. „Szariunasem” „księciem dajnonów” i „Skirgaillem”, pierwszym utworem scenicznym, dyszącym już niepomaganą nienawiścią do „zaborczej, imperjalistycznej” Polski, która zrabowała im pono przeniewierczo i zdradziecko gród Gedymina. Nienawiść to zapamiętała i zapominająca o tem, jak łatwo bez inwazji i aneksji cała Litwa mogłaby wejść w skład sowieckich republik. Potężne podobno wrażenie sprawiły dramaty w 12 obrazach przedstawia Polaków w takim świetle, w jakim Adam Mickiewicz przedstawiał Moskali w „Dziadach”: Nowosilowem jest tutaj intrygant Oleśnicki; „leitmotiem” przewodnim „Tak, zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem lub choćby mimo Boga”... I od tego dramatu Krėvė-Mickevičius staje się Tyrteuszem Litwy, Deroulem odwetu, piewczą zemsty i wojny na śmierć i życie. Jak słowacko-morawski poeta Bezruc, tak litewski Mickiewicz widzi w Polakach „naród panów”, złych, przewrotnych, brutanych, dziedziczących wszystkie metody przemocy po Moskalach i Prusakach, a tylko bez ich faktycznej potęgi, wierzących i korzących się tylko przed opancerzoną pięścią, pomiatających wszystkim co słabe, ogniem i mieczem szerzących zagładę. Krėvė-Mickevičius piastuje godność sekretarza w ministerstwie oświecenia i szefa oświatowej komisji wydawczej. Obecnie roztacza działalność na bardzo wielką skalę, t. j. idąc śladami księdza Gabrysa, tworzy podstawy porozumienia i ścisłego współdziałania Litwinów i Ukraińców. W chwilach wolnych od zajęć politycznej roboty pisze powieść oduwetową o Wilnie. Już drugi, po Puidzie. Można dziś o nim powiedzieć: obit Gustavus, natus est Conradus. Glinie w nim świetnie zapowiadający się poeta i pisarz, rodzi się wielki agitator „nacionalizmu” wojującego i na państniczego. Drugi tego samego nazwiska Kapsukas Mickiewicz, komunista, osiadłszy w Mińsku, stamtąd prowadzi w polskiem sowieckim piśmie zartartą przeciw nam agitację. Dwóch zatem Mickiewiczów po stu latach zaprzysięgło nam zemstę za to, że wielki Adam poemat swój o straconej ojczyźnie Litwie nie po litewsku pisał, ale po szlachecku, po polsku.

by”), którymi już tak zachwycali się Goethe i Herder, potem żyjące skromnie z tłumaczeń psalmów, Ewangelij, katechizmów, postylli, Biblij, książeczek dewocjonalnych, kalendarzy, „melitelów”, w w. XVIII ma już pisarzy „rastiników”, którzy tłumaczą na literacki Wirgiljusza i Owidjusza (Bohusz), a z polskiego Karpińskiego, Krasickiego, Książna (Klementas). I ten sam w. XVIII daje im już pierwszego poetę narodowego: Duouelatisa, krew z krwi, kość z kości litewskich, który język ludowy, surowy, gminny, jeszcze niepewny siebie, „lingua vulgaris”, podnosi na wyżynę już zbliżoną do poziomu literackiego, ba — już mu daje rytm heksametru. Po omal wieku piekielnego dławienia przez niemiecką biurokrację i administrację despotycznego caratu „Moskali” pod koniec w. XIX era raptownego załlenia i rozplamieniach małych ognisk i zniczów odrodzenia. Powstają grupy i skupiny zrzeszeniowe budzicieli i chorążych. Najtęższe w Tyłży: „Ausra” („Jutrzenka”) — Baranowicz, Szliupas, Malinowski, Sylwestrowicz, Sauerverinas, zespół raczej konserwatywny. Radykali gromadzą się koło „Dzwonu” („Warpasa”), gdzie przewodzą studenci warszawscy i moskiewscy

(Kudirka, Pietkiewicz). Innych skupia koło siebie „Apszwalgia”, a dołączają się jeszcze skupiny publicystyczno-polityczne z emigracji amerykańskiej i różne perjodyki: „Aidasy” („Echa”), „Kaleiwisy” („Pielgrzymy”), „Darbo-Balsasy” („Głosy Pracy”). Z prasy ludowej, dydaktycznej, samoukowej, tygodnikowej wylania się i prasa miejska, codzienna i pierwszy dziennik na terytorjum tylko historycznie, nie etnicznie własnem, t. j. „Vilniaus Zinias”.

A jaką ma magnetyczną siłę przyciągania do siebie ten mały noworodek jeszcze na długo przed chrztem państwowo-

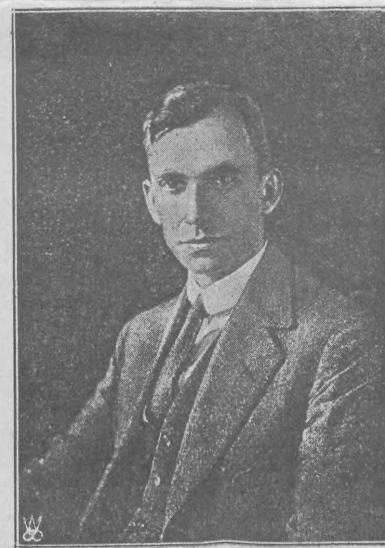


O. V. LUBIC-MILOS-MILASIUS

Esteta i dyplomata. Długie lata w Paryżu w środowiskach polskiej cyganerii malarskiej jako Polak. Kilka zbiorów poezji lirycznych po polsku i po francusku. Podczas wojny dopiero zdeklarował się jako Litwin i zerwał z polskimi kołami. W pewnej mierze jemu przypisać należy inspirowanie w duchu niechętnym Polsce rozmaitych francuskich publicystów i literatów broniących sprawy litewskiej. Obecnie przerzucił się całkiem do służby dyplomatycznej.

ści własnej — to dość powiedzieć, że już wtedy z całkiem heterogenicznych nalo-towych żywiołów zyskuje to piśmiennictwo tęgiego uczonego, etnografa - lingwistę, mitologa, docenta uniwersytetu petersburskiego Edwarda Voltera, również tęgiego dramatystę Landsberga (Zemkalnis), autora „Blindy” (litewski zbójnik, Kostka Napierski?... Janosik?) i wreszcie że autorem jednego z głównych hymnów patriotycznych jest Jurgis... Sauerverinas... ponoć Hanowerczyk z pochodzenia.

Duży już teraz bór literacki wyrósł



J. SAVICKIS

Poeta i dyplomata; obecnie jest posłem litewskim w Kopenhadze. Obok wyutworzonych studjów subtelne liryki. Teatrowi dał dramaty historyczne o Kiejstucie, który jednakże, jak twierdzą znawcy, stoi poniżej „Kiejstuta” Asnyka, jeszcze nadal najbardziej patriotycznego historycznego dramatu litewskiego. Doskonale zorientowany i rozmiłowany ongiś w literaturze polskiej, tłumaczył Stowackiego „Mindowego”. Twórca „Króla-Ducha” jest bowiem nadal najbardziej poczytnym, aktualnym i tłumaczonym z trójcy naszych derwidów romantycznych. Słowackiego tłumaczył także przedewszystkiem zmarły poeta-satyryk Kudirka, autor państwowego hymnu litewskiego, zaczynającego się od mickiewiczowskich słów: „Litwo, ojczyzno... nasza”.

z tego małego przed ćwierćwieczem zagajnika; ma już nawet swe mateczniki koteryjne i na polemiki między matecznikami, tylko oczywiście na małą, na bardzo małą skalę. Dzisiejsi wajełoci, derwidzi, burliniki (trubadury), rapsoadyści i pieśniarze nowych „dajno” i „dajnele”, rekrutują się z ludzi cywilnych, zarabiających na życie po kancelariach, biednych, bardzo biednych, często proletów dosłownych albo znów dygnitarzy państwowych (czytaj powiatowych). Stąd też ta moc pseudonimów i noms de guerre, bo księżom nie wypada np. oficjalnie wydawać liryk... erotycznych. Jak w Irlandji izra-elity ni na lekarstwo. I jak w Irlandji tematy wiejskie, chłopiejskie przeważają, boć miast niema, a stolica mniejsza od... Kalisza. A w tej beletryście wioskowej już się znalazło miejsce i na dialektu, na gwary... suwalską... pruską... żemajdzką. Już sobie i na to może pozwolić język Lie-

tuasów. A język to piękny, naprawdę bardzo piękny. Gdzie to te czasy, kiedy nasz Syrokomla - Kondratowicz skarżył się, że on Polak nie ma z kim gwarzyć po litewsku. Gdzie to te czasy, kiedy Kraszewski własnym kosztem musiał wydawać na litewski język przez Polkę Proniewską i Vilejszisa przetłumaczony „Anafielas”, który ten stał się dla Litwinów, czem „Kalewipoeg” dla Estonów, „Fianna” dla Irlandczyków, a „Rekopis króldowski” dla Czechów...

Dziś już wszyscy w Litwie albo już mówią po litewsku albo dniami i nocami uczą się odgrzebanego języka. Ponieważ przy tworzeniu państwa, wiele, wiele słów brakowało, więc istniały specjalne komisje językoznawcze, które dorabiały, dopożyczaly, z przerwami pedanterją wystrzegając się tylko języka polskiego: słowo litewskie „tamczesis” tymczasem „skorygowano” np. na „tamtykis”... I stąd ta pobłała rosyjska ciężająca na duchu całej literatury...

Ale język to piękny, bardzo piękny, śpiewny, melodyjny, czasem przypominający w deklamacji czy ze sceny grekę,

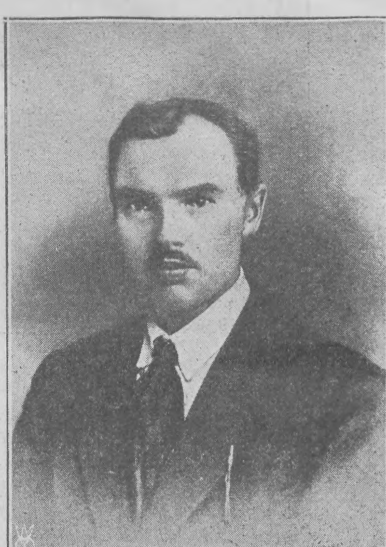


J. RALYS

Uczony badacz literatury klasycznej, specjalista od Hellady. Równocześnie kowieński i Wittlin i prof. Zieliński. Przetłumaczył „Iliadę”, teraz pracuje nad tłumaczeniem „Odyssei”.

czasem hiszpański, czasem esperanto... czasem sanskryt...

Żywi nie trzymamy nadziei, że wśród pisarzy polskich wzbudzi się w stosunku do Litwy i litewskiej literatury taki prad gorącego zainteresowania i sympatii, jaki ap. w angielskim piśmiennictwie i wśród poetów angielskich już począwszy od Swifta powstał dla irlandzkiej Gehenny... I żywi nie trzymamy nadziei, że w przestępnym wierszu Mickiewicza, brzmącym tak:



K. PUIDA

Inżynier, elektrotechnik, „deutsche Bildung”. Studjował też we Fryburgu, gdzie zetknął się i zaprzyjaźnił z wieloma Polakami. Los rzucił go na Daleki Wschód. Był długie lata nauczycielem języka niemieckiego w gimnazjum w Czelabinsku. Do ojczyzny wrócił w r. 1920, jakiś czas był redaktorem „Vilniaus Zinias”. Przez długi okres życia kochał się w literaturze polskiej i językowi litewskiemu przyswoił szereg to-mów Orzeszkowej, Niemcewskiego, Weyssenhoffa, Rodziewiczówny. W jego powieściach: „Gość ze Wschodu”, „Stępy”, „Swatki”, „Pieśń ziemi”, jak też już i w jego pseudonimie literackim „Zegota”, znać podobno wpływy polskie, szczególnie Reymonta. Na scenie debiutował dramatem „Mirga” (1921). Obecnie ten dawniej gorący apostoł naszej beletrystyki pisze powieść „odwetową” o Wilnie. Można nad tem ubolewać: dziwić się trudno, oburzać byłoby nonsensem.

Tylko gałązka litewskiego chmielu, Wdziękami pruskiej topoli nęcona, Pnąc się po wierzbach i po wodnem ziele, Śmiało jak dawniej wyciąga ramiona I rzekę krasnym przeskakując wiankiem Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.

nadchodzące lata, usunawszy przedtem pruską tymczasową „tamtykis” po litewsku! tamtejszą psychozę, poprawia też i w tym wierszu słowo „pruskie” na „polskie”

I będzie się wtedy czytało: Tylko gałązka litewskiego chmielu Wdziękami polskiej topoli nęcona...

Pielgrzymki franciszkańskie

Pielgrzymki franciszkańskie. *Johannes Jørgensen*. Przekład *Teodory Manteuffel*. Okładkę oraz kartę tytułową rysował *Eduard Manteuffel*. Warszawa, F. Hoessick, 1928; str. VIII i 210 i 3nł. i tabl. 7.

Jørgensen, zoolog, dziennikarz, literat, esteta w sensie naturalizmu angielskiego, trafił do katolicyzmu przez sztukę katolicką, której skarby poznawał po klasztorach niemieckich i włoskich. Jego wyjątkowo bogaty dorobek literacki świadczy wymownie, że ten konwertyta do człowieka



JOHANNES JØRGENSEN

rzetelny, dla którego katolicyzm stał się postacią prawdy jedynej, dającej szczęście i pokój. Oczywiście, że jako esteta jest on szczególnie bliski tej stronie katolicyzmu, która znajduje swój wyraz w plastyce. Osobliwie rozmiłował się w postaci św. Franciszka z Asyżu, któremu poświęcił ciekawą książkę. Henry Thode widział w św. Franciszku heretyka traktowanego przez kościół z wyrozumiałością, Paul Sabatier ujął życiorys św. Franciszka w formę walki o samodzielność i niepodległość duchową, Jørgensen z żarliwością konwertyty przeciwstawił się tej koncepcji, starając się wy-

ŚW. FRANCISZEK
malował Cimabue

kazać, że w stosunku św. Franciszka do kościoła nie ma tych sprzeczności i przeciwieństw, jakie dostrzegał i podkreślał Sabatier. Jørgensen pod niejednym względem przypomina Huysmansa, który po nawróceniu także nie wyrzekł się z katolicyzmu swojej wiary najistotniejszej, a mianowicie estetyzmu. Św. Franciszek stał się wielki dzięki niepodległości ducha. Z chwilą gdy słowo Ewangelii padło w jego serce, poszedł za wezwaniem Jezusa, pozbywając się wszystkiego i zrywając więzy, które łączyły go z życiem świeckim.

Jørgensen jako esteta idzie śladami wielkiego Biedaczyny, rozkoszuje się pięknem artystycznym, w którym wypowiadają się pietyzm franciszkański, i w praktykach religijnych powtarza sobie wrażenia, które towarzyszyły jednej z najpiękniejszych i najgłębszych rewolucji duchowych. Estetyzm religijny jest czemś w rodzaju rewolucji bez konsekwencji, podczas gdy św. Franciszek jest cudownym przypadkiem konsekwencji aż do ostatka. Ta rozbieżność między nim a jego dzisiejszymi czcicielami ma bolesny posmak profanującego snobizmu. Bierzcie się efekt artystyczny bez jego zobowiązań moralnych. Nad całym światem dzisiejszym ciąży to rozdarcie duszy i ten brak idei, przeciw któremu z taką siłą występował wierny kochanek Pani Biedy.

Thumaczenie p. Manteuffel dokonane z pietyzmem, wytworna szata książki, piękne reprodukcje fresków franciszkańskich — wszystko to budzi pragnienie nie literackie wyłącznie, aby piękno artystyczne zobowiązywało do piękna moralnego. Św. Franciszek ginie z oczu i miłością rzeczy wiekuiących wskazuje wysoko ponad siebie. Kto raz zbliżył się do tej postaci, ten wie, że rozpływa się ona przed oczami, aby odsłonić widok na Jezusa, który w kaplicy św. Damjana tak przekonywająco rzekł do św. Franciszka: „Ty pójdz za mną!”

Paweł Hulka-Laskowski.

Z dziejów książki polskiej

Dr. *Marja Wojciechowska*. Z dziejów książki w Poznaniu w XVI wieku. Poznań, Fiszler i Majewski, 1927; str. XLI i 1 nł. i 358 i 2nł. i tabl. XVII.

Do badań nad dziejami książki polskiej, do prac źródłowych Ptasnika, Bernackiego i Piekarskiego, przybyło świeżo pięknie wydane dzieło Marji Wojciechowskiej. Lwią część tomu zajmują dodatki, a właściwie szczegółowa bibliografia 339 druków Neringa i Wolraba. Nad oceną strony drukarskiej omawianych wydawnictw autorka nie rozszerza się, choć dla przykładu daje kilka reprodukcji winiet i inicjałów z zasobów obu drukarni, — a zaznaczyć trzeba, że ozdoby typograficzne Wolraba przedstawiają się dosyć ciekawie. Ale nie znajdziemy tu ani pod względem zewnętrznym, ani co do treści, żadnych odkryć, które mogłyby wysunąć drukarstwo poznańskie na poważniejsze miejsce w Polsce wobec przytłaczającego swą działalnością i swemi przywilejami Krakowa.

Na niewielu kartach głównej części dzieła zebrała autorka bardzo ciekawych, choć, jak można było przewidywać, dość szczerpionych materiałów ze źródeł archiwalnych. Znajdujemy więc bliższe wiadomości o pierwszym księgarzu poznańskim Piotrze z Lubeki, już w r. 1477 trudniącym się handlem książkami, głównie kościelnymi, ale także... śledziami i piórami. Jego współcześni i następcy, obok książek, sprzedają również kossy, wełnę, sukno, owoce, jarzyny, wino, piwo, skóry... Czyż to nawet pierwszy na większą skalę księgarz poznański, Jan Patruus, trudniący się również intronigatorem, — ale już jego syn, Krzysztof, ogranicza się wyłącznie do książek. Pierwszym drukarzem poznańskim jest Melchior Nering, pierwszą książką drukowaną w Poznaniu — gramatyka Alvara z r. 1577. W r. 1578 wydaje pierwszy swój druk Wolrab. Te dwie oficyny są głównym przedmiotem książki Wojciechowskiej. Ze spostrzeżeń autorki warto przytoczyć, że na 143 druków Neringa i Wolraba w w. XVI jest 14% panegirów, a na 201 druków w początku w. XVII panegirów aż 50%. Nie sposób tu powtarzać wszystkich wyników żmudnych poszukiwań, ale warto nadmienić, że w całym okresie lat 1577—1636 nie ukazał się w Poznaniu ani jeden druk niemiecki.

Autorka nie ogranicza się do księgarzy, w oddzielnym rozdziale omawia rzemiosła związane z książką, a więc podaje źródłowe wiadomości o działających w Poznaniu pergaministach, papiernikach, kartownikach, intronigatorach i iluminatorach. O intronigatorach poznańskich pisała obszerniej w t. VII „Exlibrisu”.

W końcu zebrała autorka interesujące materiały o bibliofilach, czytelnikach i bibliotekach poznańskich od czasów najdawniejszych. Dowiadujemy się tu m. in. że w r. 1599 Jan Iwienicki sprowadził sobie z Włoch cały zbiór książek; obok autorów klasycznych, znalazł się tam Petrarca i Dante, ale również „Secreti del don Aloisio”, „Libro del gogo di schachi” i „De duello”. Podobnych przyczynków do dziejów kultury w Polsce w książce Wojciechowskiej znajdujemy sporo.

Kazimierz Czachowski.

Powieść i nowela

Wanda Miłazewska. Pierwsza miłość. Warszawa, F. Hoessick, 1928; str. 302 i 2nł.

Wydaje się chwilami, że p. Miłazewska usiłuje godnie reprezentować t. zw. kobiecość. Jest programowo miła, idylliczna. Wybiera tematy bez ostrych kantów, zaiste — róże bez kolców. I przecieka przez mózg czytelnika ten tom nowel jak perfumowana woda, produkt nie natchnień czy spoczonego wysiłku — lecz myślowej bierności.

Ma to swoje „smaczki” i efekty, z początku może się nawet podobać, ale w końcu pozostawia wrażenie konsekwentnie uprawianej — nie wiem, czy to szczęśliwie nazwę, — haremowości.

Autorka dała kilka nowelek o dzieciach, jedną nawet o nieszczęśliwej miłości psa do suczki, lecz tematy te są jedynie pretekstem do łagodnej, a w rzeczy samej — obojętnej, choć efektownej, introspekcji.

Nie można stawiać autorce żadnych zarzutów ani co do formy (języka), ani co do tematów, bo całość jest, jak już wzmiankowałem, utrzymana w jednym tonie, i to nawet, jeżeli chodzi o całokształt, bardzo konsekwentnie. Ta jednolitość postawy nie jest jednak wynikiem pracy, lecz tej właśnie „kobiecości”, t. zn. intelektualistycznego ujmowania swych obserwacji. Jest to zjawisko w naszej kobiecej twórczości niezmierne rzadkie, kobiety bowiem starają się reprezentować ową kobiecość na sposób męski, mocno. Łagodna nieszkodliwość — oto nazwa dla tych nieobowiązkujących opowiadań. Podobna kultura — a posiada ona niesłychaną podzielnosć, zdolność rozprzestrzeniania się — jest w pewnej mierze niebezpieczeństwem, bo tworzy zbyteczne szablony. Dlatego spodobała się p. Zuzannie Rabskiej.

Proza bez konturów, tyle tylko że prosta.

Biblioteka Groszowa. Redaktor *H. Zajaczkowski*. Nr. 208—209. *Hajota*. Jak cień. Z cyklu „Z dalekich ładów”. Powieść. Tom I—II. Warszawa, 1927; str. 166 i 2nł. (I), 143 i 1nł. (II).

Powieść *Hajoty* jest ustabilizowaniem pewnego typu literatury egzotycznej. Można zaryzykować określenie: rudymenarny Conrad. Nie wiem, czy autorka, pisząc „Jak cień”, znała „Fantazję Almazera”, ale podobieństwa — nawet fabularne — są zupełnie wyraźne.

Aleksander Alfred Konar. Bez serca. Spełnione marzenia. Powieść. Warszawa, F. Hoessick, 1928; str. 224.

Może Konarowi przy pisaniu „Bez serca” przyswiecała myśl o Barrèsa „Les déracinés”, ale zabrało mu tchu, aby pokazać upadek człowieka w kategoriach walki. Treść powieści Konara — to psychologia zaskorupiałych stanów.

Janusz Makarczyk. Wyzwolony harem. Powieść. Warszawa, „Biblioteka Polska”, 1927; str. 4nł. i 188.

Pan Makarczyk jest dziennikarzem i wydał kilka książek — opisów swych podróży. Mam wrażenie, że powieść swo-

ją napisał na ich marginesie. Nie chciałbym wyzykiwać sytuacji i powiedzieć, iż „Wyzwolony harem” jest tylko dlatego źle napisany, że jego autor jest dziennikarzem, ale faktem jest, że mamy do czynienia z jedną z najsłabiej napisanych powieści polskich, i to w dodatku z powieścią z pretensjami.

Turcja wygląda w niej jak kiepski szkic panoramy. Można było przecież spodziewać się po dziennikarzu, że inteligentniej potraktuje chociażby tło obyczajowe i polityczne.

Próbka stylu i wskaźnik poziomu: bohaterka „Wyzwolonego harem”, pani Yordi, powiada do swego męża, Amerykanina Hibbsa: „Byłam kobietą Wschodu, świat mój kończył się na ścianach harem. Tyś upoił mnie wolnością Europejki i Amerykanek, a ja, oszołomiona, zdziwiona, zaczęłam z ciekawością odchyłać figury listek z tej waszej kultury i znalazłam tam tylko figę” (!)

Biblioteka Powieściowa. Redaktor *Marjan Kister*. Nr. 521. *Irena Zarzycka*. *Dzikuska*. Historia miłości. Okładka projektu *S. Norblina*. Warszawa, „Rój”, 1927; str. 181 i 3nł.

Historia miłości pewnego rozkosznego brudasa nasuwa mi jedno zasadnicze zastrzeżenie. Znam przypadkowo okolicę, w której rozgrywa się akcja powieści, mianowicie miasteczko Skole pod Strypem. Otóż autorka stale używa jako dopinaczka formy: Skole — Skola, lud natomiast mówi: Skole — Skolego. Ta forma jest o tyle słuszną, że nazwa Skole wyprowadza się od : Skalne. Tak przynajmniej wyjaśniał mi to pewien ligwista-aamtor.

Poza tem można jeszcze dodać, że powieść jest prawdopodobnie chlubą autorki i jej rodziny, nie przynosi natomiast zaszczytu wydawnictwu, które pozwoliło jej urzecz światło dzienne.

Biblioteka Domu Polskiego. Redaktor *Ignacy Płazewski*. Tom 85. *Józef Lasoń*. *Żołnierz bez ojczyzny*. Powieść. Okładkę projektował *Jan Pohoski*. Warszawa, 1927; str. 144.

Pan Lasoń, opisujący rozgardzając polityczny w Polsce w latach 1916—18, ma może sympatyczne poglądy, ale rzemiosła pisarskiego nie zna. Technikę jego cechuje jakaś zbyt zamazysta swoboda, najlepiej dowodząca braku umiejętności. Np.: „Dziwczynna, wykręcając się na pięcie, w takt rozmowy, nachylała się to w prawo, to w lewo, jak kocica afrykańska, gotująca się do skoku. Jej duże piersi trzęsły się, jak dojrzale jabłka trzaskane ręką o grodnika, który tam, u spodu jabłoni rozłożył siatkę i ostrożnie potrażał gałęzi, aby dojrzwały, piękny owoc, upadając, nie skaleczył się o wystającą gałązkę, na drodze do upadku... w siatkę...”

Powieść jest bardzo źle skomponowana. Czytelnik zatracca raz po raz wątek, a dygresje w rodzaju cytowanej robia wrażenie humorystyczne.

Współcześni pisarze rosyjscy. Tom 2. *Borys Lawreniew*. 41 (Czterdziesty pierwszy). Przekład z rosyjskiego *Jana Barskiego*. Warszawa, „Alfa”, 1927; str. 207 i 1nł.

Najbardziej konsekwentne jest pierwsze opowiadanie „Czterdziesty pierwszy” o młodej rybacze Marucie, która została bolszewickim żołnierzem. Miłość jej do jeńca-białogwardzisty na bezładnej wysepce na morzu Aralskim pokazana jest prosto, bo Lawreniew pokazuje tylko, jak pod skorupą bezwzględnych żołnierskich gestów przelewa się „das ewig Weibliche”. Zakochanie noweli — Marutka zabija swego kochanka gdy dostrzega łódź białogwardzistów — jest znów zwycięstwem odruchowego gestu żołnierza nad miłością kobiety. Formalnym leitmotiwem noweli jest błękit oczu kochanka Marutki.

„Opowiadanie o prostej rzeczy” jest dużo słabsze. Czekaista Orłow dostaje się w ręce oficerów białogwardyjskiego kontrwywiadu. Punkt ciężkości leży w tem, że Orłow stara się, aby jego towarzysze partyjni nie myśleli, że on umyślnie „wpadł” w celu uratowania jakiegoś chłopca, wziętego przez białogwardzistów za niego, Orłowa. Motyw w istocie swej sentymentalny, jeżeli chodzi o „żelaznego człowieka”, psychologicznie przeprowadzony w manierze Dostojewskiego.

„Niebieski kaszkiet” przypomina Gogola. Zresztą opowieść o niezwykłych przejściach profesora filozofii doświadczalnej Błogosławitowa jest najsłabsza z punktu widzenia wynalazczości literackiej, ale zato zawiera sporo szczegółów z życia inteligencji rosyjskiej przed „Nepein” i po nim.

Biblioteka Dzieł Wyborowych. Redaktor *Feliks Gadowski*. Tom 152/153. *Miriam Harry*. *Odwieczna pieśń*. Powieść. Część I i II. Przetłóżył z francuskiego *Zoda-Mares*. Warszawa, 1927; str. 261 i 3nł.

Jedyną interesującą stroną tej beznadziejnej powieści są błędy przekładu. Krótki cytat: „To to, ten brzeg legend cyrenejskich, kraj przynioś i słodyczy, ku któremu żeglowali argonauci...” Kraj lotofażów, gdzie Ulises i jego towarzysze zabrali wbrew woli...” (str. 10). Tłumacze nie wiedzieli, że chodziło tu o lotofagów, czyli lotoszerców, — i wykpił się takim kosztem, nie zadając sobie nawet trudu, by zajrzeć do Larousse’a.

Albo: „jest pani kobieta zaczepną” (str. 105), albo: „Nie śmiał już objąć jej ramieniem, poglaskał tylko jej piaszczą” (str. 131) i t. p.

Chciałbym spytać się tłumaczy „Odwiecznej pieśni”, czy wśród tysięcy francuskich książek nie mogli znaleźć ciekawszej i napisanej inteligentniej od tego tasemca?

Henryk Drzewiecki.

Wśród książek

Chwała boża (psalterz Dawidowy). Z hebrejskiego przetłóżył, wstępem i uwagami zaopatrzył dr. *Fryderyk T. Aszkenazy*. Księga I. Lwów, autor, 1927; str. 831 i nł.

Uczony autor nowego tłumaczenia Psalmów rozprawia się w przedmowie z dotychczasowymi tłumaczami, osobiście z tłumaczami niemieckiej szkoły krytycznej, którzy nietylko tłumaczą, ale poddają teksty ostrej krytyce filologicznej. Rozumiemy pietyzm dr. Aszkenazego, który nie chce uronić nic z tego co uważa za słowo Boże, ale Psalmi są dziełem nie filologa, lecz poety (zdaniem uczonych nietylko Dawida), i tłumaczyć je winien przedewszystkiem poeta. Może nowy przekład jest wierniejszy filologii, ale przekład Cylkowa np. jest wierniejszy poezji.

Z cyklu „Epopeje i Legendy”. Tom 3. *A. Ferdinand Herold*. *Życie Buddy* według starych źródeł hinduskich. Przekład *Fr. Mirandoli*. Ornamenty i rysunek okładki *E. Czerpera*. Poznań, Wydawnictwo Polskie, (1927); str. 245 i 7nł.

Badania indologów i religjologów dają nam dość jasny obraz Buddy, jego nauki i tej nauki przeobrażeń w różnych krajach i czasach. Liberalna teologia protestancka przyczyniła się także w Niemale mierze do spopularyzowania postaci Buddy tem, że między buddyzmem a chrześcijaństwem zaczęto dopatrywać się pewnych rysów wspólnych i pokrewieństwa legendy, w czem niejednokrotnie grubo przesadzono.

Dokoła każdej postaci twórczej powstają prędzej lub później legendy, a dokoła twórców religii osobiście. Znać pewną rolę jedynę z tych skrótów pojęciowych, jakich dostarcza wiedza, to znaczy znać za mało. Czemu byłaby dla nas np. postać Jezusa podana w formułach teologicznych, bez miękki, pastelowych linii legendy? Śród chrześcijan są tacy, którzy nie mają pojęcia o subtelnościach teologicznych, ale niema takich, którzy nie znaliby legendy chrześcijańskiej. To też nawet dla tych, co znają dzieła Oldenbura, Winternitza, Lehmana lub Davidsa, książka Herolda w dobrym tłumaczeniu Mirandoli będzie miłym uzupełnieniem ich wiadomości o Buddzie.

Lucjan Marjan Freytag. Nauka i polityka w świetle prawa natury. Z 7 rysunkami. Warszawa, 1927; str. 106 i 2nł.

Książka p. Lucjana Freytaga to jedno z usiłowań znalezienia wspólnego mianownika dla wszystkich objawów życia. Jedni widzą taki zbawczy wspólny mianownik w katolicyzmie, inni w komunizmie, jeszcze inni w nacjonalizmie. Pan Freytag stara się znaleźć formułę przedstawiającą wyższą jedność nacjonalizmu i katolicyzmu. Wszelka „jedność” jest wyłączeniem, a życie rzuca się bezustannie w przeciwności, indywidualizowaniu. Na społeczeństwach anglosaskich i skandynawskich widzimy, że maximum zróżnicowania religijnego i społecznego zbiega się w nich z maximum konsolidacji, podczas, gdy maximum unifikacji narodowej i katolickiej w Hiszpanji i Włoszech doprowadziło do takiego zmechanizowania życia, że przed

rozkładem społecznym bronić może tylko dyktatura mechaniczna. Na te rzeczywistości p. Freytag nie zwraca należytych uwag.

J. Baudouin de Courtenay. Mój stosunek do kościoła. Warszawa, „Bez Dogmatu”, 1927; str. 79 i 1nł.

W atmosferze nieracjonalizowanego sentymentu i moczarowego klerykalizmu naszego pociąg Baudouina de Courtenay staje się osobliwie czcigodna. Dulszczyzna i podilipszczyzna każe mieć w paszporcie religję; na człowieka uczciwego, który melduje swoją bezwyznaniowość, patrzy się jak na wyrzutka, który gotów jest na wszystko. Gdy tak miło jest nie mieć wrogów i nie narażać się nikomu, gdy człowiek tak bardzo potrzebuje towarzystwa, Baudouin de Courtenay nie pisze się na żadne wyznanie, ani na teizm, ani na ateizm. Racjonalistyczny agnostycyzm nakłada na jego sumienie pewne obowiązki, i tym obowiązkiem czyni szlachetny człowiek zadość, zrywając z wszelkimi pozami religijności urzędowej. Książkę jego czyta się nietylko z głębokim zainteresowaniem, ale i z szacunkiem. Baudouin de Courtenay należy do typu bojowników i wyznawców, którzy dla prawdy umieją poświęcić przyjemności i wygodę. Chociaż wobec myśli wolnej w jej pospolitem rozumieniu zajmuje stanowisko krytyczne, wolnomysłuści polscy, zgromupowani dokoła „Życia Wolnego”, wydając ten dokument odwagi i rzetelności, wystawiają ładne świadectwo swojej tolerancji, o którą bywa niekiedy trudno, gdy zamiast myśli badawczej i krytycznej spotykamy dogmat.

Zenon Posner. Walka o jutro. Warszawa, 1927; str. 26 i 2nł.

Autor poddaje krytyce kulturę nadmiernej indywidualizacji. „Filozofia zerwała ciągłość z dziejowo-wytwórczą pracą i zmieniła wszelkie doświadczenia dziejowe w bezwycisową przegrodę indywidualną” — powiada autor i egoizmiowi drapieżnej jednostki przeciwstawia rozsądną postawę psychiczną zbiorowości. Droga rozwoju idzie jego zdaniem „od stadości przez konstruktywny indywidualizm ku indywidualizacji stadości”.

Paneuropa. Rzecz o Stanach Zjednoczonych Europy. Napisał *Antoni Opęchowski*. Kalisz, Drukarnia P. Piotrowskiego, 1927; str. 19 i 1nł.

Jest to charakterystyka usiłowań paneuropeistów i opowiedzenie się po stronie Paneuropy. Wobec rozpętanego nacjonalizmu, grożącego Europie zagładą, usiłowania zwolenników pojednania i zjednoczenia są aktem rozumu i rozsądku. U nas dążenia pacyfistyczne i paneuropejskie bywają rozumiane jako zdrada muru chińskiego, wznoszonego pracowicie przez symplizmy polityczne. Wywody p. Opęchowskiego zasługują na wszechstronną uwagę.

phl.

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

KSIĘGARNIA, NOWY ŚWIAT 23/25

poleca nowe wydawnictwa:

Lepecki M. B. **W SERCU CZERWONEGO ŁADU**

Przygody z podróży po Paragwaju, Boliwji i Brazylii. Książka pięknie ilustrowana Zł. 12.—
w ozdobnej oprawie płóciennej Zł. 17.—

Weitz H. F. **WIEŻA DŹWIĘKÓW**

Powieść. Przekład dr. Marjana Stępowskiego

Makarczyk J. **WYZWOLONY HAREM**

Powieść Zł. 5.—

Dobrzyński W. T. **EGIPT WSPÓŁCZESNY**

Boy (T. Żeleński) **PLOTKI, PLOTKI...** Zł. 6.60

Sieroszewski W. **DALAJ-LAMA** Powieść

Część I. Om-Mani-Phadme-Chum Zł. 5.50
Część II. Droga Białego Boga Zł. 6.—

Wyspiański St. **DZIEŁA ZBOIOWE**

w opracowaniu Adama Chmiela i Tadeusza Sinki. Tom IV. Dramaty. Wesele—Wyzwolenie—Akropolis Zł. 24.—
w oprawie płóciennej Zł. 27.—

Przeddziecki R. **VARSOVIE**

Avec 170 illustrations en texte et 32 gravures hors texte. Wydanie drugie Zł. 36.—
W ozdobnej oprawie płóciennej Zł. 45.—

NOWOŚCI GWIAZDKOWE

GEBETHNERA i WOLFFA

Dla najmłodszych

Dynowska Marja. Przygody Cipusia. Z 12 kolorowymi ilustracjami i okładką. Karton 5.—

Dla dzieci od lat 8—12

Weryho Marja. Na wakacjach. Z 7 rysunkami i barwną okładką W. Romeykówny. Karton 5.50

Dla starszych dzieci i młodzieży

Carroll Lewis. Ala w krainie czarów. Z 9 rysunkami czarnymi. 4 kolorowymi i barwną okładką K. Mackiewicz. Przekład z angielskiego M. Morawskiej. Wiersze tłumaczył Ant. Lange. Karton 6.50

Dla młodzieży

Barszczewski Stefan. Przygody kapitana Saint-Claira. Z 9 ilustracjami i barwną okładką K. Mackiewicz. Karton 5.50

Burnett Frances Hodgson. Tajemniczy ogród. Z 8 rysunkami i barwną okładką Z. Sołowiówny. Przekład z angielskiego J. Włodarczykówny. Karton 7.50

Dąbrowska Marja. Polska w zwyczaju i obyczaju. Z 10 rysunkami K. Mackiewicz. Broszura Zł. 12.— Karton 14.—

Dla dorosłych

Krzywoszewski Stefan. Z przeżyć i wrażeń myśliwskich. Z 24 rysunkami K. Mackiewicz. W futerał 20.—

Łubieński Stefan. Między Wschodem a Zachodem. Japonia na straży Azji. (Dusza mistyczna Nipponu). Z 55 ilustracjami i przedmową W. Sieroszewskiego. 18.—

NAGRODA PAŃSTWOWA ZA R. 1927

SKŁAD SĄDU I DYSKUSJA

W skład sądu konkursowego, który miał rozstrzygnąć o tegorocznej nagrodzie ministerstwa oświecenia, weszli ze Związku Zawodowego Literatów Polskich — Jan Łąkowski, z Polskiego Klubu Literackiego — Władysław Zawistowski, z Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy — Piotr Chojnowski, ze Związku Autorów Dramatycznych — Kazimierz Wroczyński, z ramienia ministerstwa oświecenia — Karol Irzykowski i Wincenty Rzymowski.

Sąd odbył trzy posiedzenia, na których uchwały dla siebie nowy regulamin, odbył dyskusję nad zgłoszonymi kandydaturami i w końcu 5 głosami przeciw 1 (Jana Dąbrowskiego) uchwalił przedstawić p. ministrowi oświecenia wniosek o przyznaniu nagrody Leopoldowi Staffowi za zbiór poezji „Ucho igielne”.

Według nowego regulaminu sędziowie mogli zgłaszać po kilka kandydatów, aby przy głosowaniu uniknąć konieczności eliminowania kandydatów przypadkowych i mieć dostateczny ich zapas. Na pierwszym posiedzeniu zgłoszono następujące kandydatury:

Rzymowski: 1) Staffa „Ucho igielne”, 2) Dąbrowskiej „Ludzie stamtąd”, 3) Kadena-Bandrowskiego „W cieniu zapomnianej olszyny”, 4) Nałkowskiej „Choucas”. Wroczyński: Perzyskiego „Raz w życiu”.

Zawistowski: 1) Staffa „Ucho igielne”, 2) Kadena-Bandrowskiego „W cieniu zapomnianej olszyny”, 3) Goetla „Z dnia na dzień”.

Chojnowski: 1) Goetla „Z dnia na dzień”, 2) Kadena-Bandrowskiego „Miało mojej matki” i „W cieniu zapomnianej olszyny”, 3) Dąbrowskiej „Ludzie stamtąd”.

Irzykowski: Staffa „Ucho igielne”. Dąbrowski: 1) Kadena-Bandrowskiego „Miało mojej matki” i „W cieniu zapomnianej olszyny”, 2) Nałkowskiej „Choucas”, 3) Goetla „Ludzie stamtąd”.

Na następnym posiedzeniu dodano kandydatury następujące:

Wroczyński: Grubińskiego „Księżniczka żydowska”, Żarnowieckiego „Rok 1975”. Staffa „Ucho igielne”.

Chojnowski: Staffa „Ucho igielne”. Dąbrowski: Wierzyńskiego „Laur olimpijski” i „Pamiętnik miłości”.

Pp. Wroczyński i Chojnowski zaznaczyli, że tylko dlatego nie zgłoszili „Ucha igielnego” na pierwszym posiedzeniu, że tej książki wówczas jeszcze nie znali.

Dyskusja nad zgłoszonymi dziełami odbyła się na drugim posiedzeniu. Oto niektóre jej motywy:

Rzymowski zaleca „Ucho igielne”. Staff — czysty poeta, twórczość jego, bezinteresowna, nie tykająca wprost praktycznego życia, w tym zbioru bardzo pięknie się wywydatnia.

Irzykowski analizuje zgłoszone dzieła Perzyskiego, Nałkowskiej, Goetla, Kadena, zaleca „Ucho igielne”. Staffa.

Zawistowski zaleca „Ucho igielne”. Staff ma długą linię twórczości. „Stafficzność” cechowała przez pewien czas całą młodą poezję; uzależnienie się od wpływu Staffa było uważane za ważny zwrot w twórczości poetów. Dla mnie ta książka zawiera wszystkie cechy twórczości Staffa, poeta niejako przewleka tu swoje bogactwo przez ucho igielne.

Chojnowski oświadcza się za „Uchem igielnym”; podnosi nębywałe czyste ton książki, jej wielkość w kryształowości.

Wroczyński krótko oświadcza się za „Uchem igielnym”.

Dąbrowski. Według art. 2 statutu nagrody należy uchylić zasiłgi a nagrodzić tylko „nawybitniejsze dzieło z ostatnich trzech lat”. Istnieje pięć nagród za całkowitą twórczość, Staff mógłby się ubiegać o lwowską. Za zasługi można też dostać się do akademii. Jak się to stało, że z racji „Ucha igielnego” cały trzytytny dorobek literatury ma być przekreślony? Ta książka całe moje wyczucie literackie bije na głowę. W innych zbiorach Staffa na miejscu jest jego czysta seraficzność, ale tu, gdy wchodzi na tory znalezienie Boga, jest to najniebezpieczniejsze wyjście dla jego poezji. Kwestia istoty Boga, to co stanowiło rdzeń twórczości Kasprzowicza, Novalisa, jest tu nieobecna. Nie mówię, jaki Bóg, stwierdzam tylko, że go ma. Nadto: zubożenie formy, jednostajność motywów. Gdzież ta wysokość natchnienia? A przecież istnieje inna współczesna polska poezja, którą pomijamy, ma ona w sobie więcej walorów, życia, temperamentu, rozległości, niż w „Uchu igielnym”. Kiedy człowiek staje się już niczem, pisze swój poetycki epilog. A tymczasem jesteśmy w okresie rozwoju prozy, i tu mamy embarras de richesses. Związka za aksjomat już dziś uchodzi wybitność twórczości Kadena. Kiedy tamten się kończy, t. n. jest w pełnym rozkwicie. Co do cyklu „Miało mojej matki” — jest to książka, która przebiega skurpe obojętności powszechnej względem literatury. Publiczność dotychczas znała tylko wielkie nazwiska, aż tu przyszła książka, którą wszyscy naprawdę czytali. Było to coś w mniejszym stopniu jak „Wesele” Wyspiańskiego. Kadem wygrał wielką bitwę przeciw snobizmowi w literaturze. Wystąpił z wielkością prostoty. Pokazał, że ta nowa Polska związana jest z poprzednią. To nie jest holenderszczyzna. W dziele „W cieniu zapomnianej olszyny” jest jeszcze większe natchnienie twórcze. „Śmierć Tanczusa” jest objawieniem poetyckim. Przecież się np. „Imieniny”, opisujące przebudzenie się miłości, lub „Sława”, gdzie składa hołd stryjowi — artyście, o-

pisuje cierpienia, które rodzi sztuka. Nadto porusza różne problemy, jak problem sprawiedliwości karzącej i przebaczenia, problem naszego stosunku do młodszej braci. Ewangelia współczesności dla człowieka, który wchodzi w życie z prostotą dziecka. Zresztą wszyscy inni prozaicy mieliby większe prawa niż Staff. Gdyby szło o osoby, mogliby ustępować, ale nie gdy chodzi o dzieła. Przewyższa go choćby Dąbrowska, — a jednak chodzi ona w promieniach sławy Kadena; Goetel, któremu w powieści „Z dnia na dzień” nie udało się złączyć dwóch akcji; wyżej od niego stawiam Nałkowską, która bezinteresowna twórczością jest trochę zbliżona do Staffa, ale „Choucas” nie jest najwyższym jej wzniołem. Kadem wywarł wpływ na całą prozę współczesną swoim konkretyzmem, wszyscy kadenizują potrosze.

Irzykowski: Powodzenie „Miało mojej matki” uważam za jedną z wielkich pomyłek krytyki. Gdyby szło o „Łuk” lub „Generała Barcza” głosowałbym na Kadena. Jego forsa jest bujna, tyżyna, brutalność, bezwzględność i nawet cynizm obserwacji, i w tym kierunku można się od niego spodziewać wielkich rzeczy. Wolałbym, żeby jego powieść górnicza przyniosła mu ten wielki triumf, który mu się nałży. Temat cyklu „Miało” nie odpowiada mu. Literatura wspomnień dziecięcych jest za granicą tak obfita, że tu nie wystarczy nowość tematu, lecz obowiązuje bardzo wysoki poziom. Kadem nie czuje dziecka, ma za mało naiwności, fałszuje fakty. Uczuciowość jego jest wymuszona, mimowoli przebiega się jego ełan vital. Wspomniano o „Sławie” — to nie jest hołd, on to skopał stryja, jak skopał Gucia i innych. „Kadenizowanie” jest szkodziłem, — zamiast kompozycji łatwe fragmenty, fakty z troską ornamentyki i uwagami od siebie.

Rzymowski. Uwielbiam Kadena, lecz uważam oba te dzieła za równoważne. „Ucho igielne” nie jest najlepszą książką Staffa, ale nie jest grzechem Staffa, że pisał rzeczy lepsze. Kadena arcydzieło jest zawarte w przyszłości. Cykl „Miało mojej matki” jest kompromisem z psychą społeczeństwa polskiego: unika obcowania z dojrzałością, prowadzi flirt ze słabością polską. Osiągnął triumf, jaki niegdyś był udziałem Sienkiewicza. Jest to powodzenie podejrzane. Wobec Staffa jesteśmy w tem szczęśliwym położeniu, że już wiemy to co mógł dać. Ale daleki jestem od przesadzania jego przyszłości, nie posyłam go na emeryturę, ja jeszcze po nim dużo się spodziewam.

Dąbrowski. Staff kończy się, to jest moje indywidualne odczucie. W „Uchu igielnym” stanął na punkcie, z którego nie ma wyjścia. Jego Bóg jest bogiem katechizmowym. Czy Staff wyraził nasze przekonania? Nie wracamy przecież do katechizmu. Bylibyśmy w dziwacznej sytuacji, nagradzając „Ucho igielne”, — to nie jest punkt wyjścia dla naszego czasu. Co do Kadena, to jego książka nie jest zbiorem fragmentów, to są rzeczy budowane a nie szkice. Sentyment w niej jest szczerzy, przytłumiony rozmyślnie. Sumienie literackie będzie zaniepokojone tem, że neokatechizm Staffa zostanie w ten sposób uwieczniony. Powiada się, że laury Kadena mogą poczekać. U nas jest zwycięzca, ze sława musi się uleżeć jak tyto i ucukrować jak figa. Może dopiero gdy znajdziemy jego ostatni wydech, włożymy laur na siwiące skronie, — podobny do owego wieńca starego śpiewaka w „Sławie” z „Miało mojej matki”.

Zawistowski. Podzielać uwielbienie dla wielkości artystycznej i ideowej Kadena, nie zgadzam się na to, co o nim mówili pp. Irzykowski i Rzymowski. Ale nie zgadzam się też z zastrzeżeniami p. Dąbrowskiego co do Staffa. Treścią „Ucha igielnego” jest nie Bóg lecz rozlewna psychika samego poety. Nie dotyka on kwestii Boga, to pojęcie jest poza jego rozumowaniem. To jest płynny liryzm, kąpienie się w pewnym stanie psychicznym. Gdyby podawał jakąś koncepcję Boga, to co innego. Obie kandydatury są do przyjęcia; trudno powiedzieć, który z nich powinien mieć pierwszeństwo. Dzieła te nie dążą się z sobą porównać. Jeżeli wysuwam Staffa, to nie dlatego, żeby jego książka była wyższa, lecz że jest niejako mikro-kosmosem jego działalności, organicznym wynikiem jego twórczości.

Irzykowski. W „Uchu igielnym” jest mowa nie o Bogu katechizmowym lecz o Bogu mistycznym. To są modlitwy, to są wyprawy w krainy lodów do Boga. Nie obawiam się, żeśmy nagrodzili książkę reakcyjną; to jest przejęcie, most; w samym tytule już jest jakby zastrzeżenie; autor to przezwyciężył, tak jak już przechodził przez różne fazy. Musimy traktować całą twórczość Staffa jak jednolitą lawę, której się pokrajac nie da. Zgadzam się co do tego z p. Zawistowskim. W jaki sposób pewna sztuczność, wywołanie się w rolę, łączy się u Staffa z szczerością, to jest problemem liryki i poezji w ogóle; sztuczność jest u niego warunkiem wybuchów szczeroci. Brzozowski napisał o tem „zaśmieszanie Staffa” jedną z najpiękniejszych swoich rozpraw, która, jak panom wiadomo, rozpoczyna się od słów: „Cała twórczość Staffa jest spowiedzią”.

Dąbrowski. Szereg wierszy u Staffa powtarza jedną myśl: ja jestem Judaszem, fletnią, podaną z octem gąbką, mam srebrniki judaszkowskie. To znaczy, że autor ustosunkowuje się do Chrystusa z legendy, nie do Boga panteistycznego. Mistycznie nie czuje Boga. Powiada: chce Boga, zongluje wciąż tem samem pojęciem. Novalis jest cały rozpięty wany istota Boga. Staff, który kwitł jak drzewo, jest dziś suchą gałęzią. „Chorzy w poczekalni” — efekt przesady. Tego dawnego Staffa mi tu brakuje.



w czasach lwowskich

Rzymowski i Irzykowski wskazują na inne wiersze w zbiorze, które ich zdaniem są klejnotami. „Judaszowskie srebrniki” są tylko symbolem codziennych kompromisów z życiem.

Na tem zakończyła się dyskusja merytoryczna.

Po głosowaniu w dn. 14 grudnia b. r., które wypadło na korzyść „Ucha igielnego”, p. Dąbrowski złożył do protokołu następujące votum separatum.

VOTUM SEPARATUM

„Uważam: iż tom poezji Staffa „Ucho igielne”, który opuścił prasę przed dwoma tygodniami, nie jest w żadnym razie książką, którąby swą wartością przewyższał cały trzytytny dorobek literatury polskiej;

iż powszechnie słychać się daje uzasadnione mniemanie, potwierdzone analizą zawartych w „Uchu igielnym” poezji, że jest to książka słaba, a w każdym razie stojąca na znacznie niższym poziomie wartości niż dotychczasowa twórczość Staffa, przed kilkunastu laty wybitnego i dziś bezsprzecznie zasłużonego poety;

że współczesna polska twórczość literacka znajduje się w pełni rozwoju, wydaje dzieła wybitnej wartości, wychodzące z pod piór pisarzy znajdujących się w pełni rozwoju swych talentów, a zwłaszcza świetnie rozwijają się proza powieściowa, „Ucho igielne” zaś jako produkt schyłku lub czasowego osłabienia talentu oczywiście nie może wytrzymać porównania z dziełami kwitnących i żywotnych talentów;

że twórczość tak wybitnych pisarzy, jak Juliusz Kaden-Bandrowski, Zofia Nałkowska, Ferdynand Goetel — w prozie, a Kazimierz Wierzyński — w poezji, nie powinna być pomijana ani lekceważona;

że już przy stawianiu kandydatur do nagrody były pomijane wybitne dzieła literackie z ubiegłego trzeciecia, co usiłowałem przez postawienie ze swej strony szeregu utworów naprawić; że dzięki temu debata sądu konkursowego rozwijała się wyłącznie w kierunku eliminowania dzieł i autorów i stwierdzania ich rzekomej niższości w porównaniu z „Uchem igielnym” i były nader jednostronne;

że tym sposobem przez udzielenie nagrody za „Ucho igielne” sąd konkursowy wskazywałby p. ministrowi i całemu ogółowi polskiemu jako najwybitniejszy utwór współczesny dzieło słabe, najslabsze w całym dorobku twórczym Staffa, dezorientując w ten sposób opinię i narzucając na szwank samą zasadę udzielenia nagrody za najlepsze dzieło literackie,

oraz

że na zasadzie wypowiedzeń poszczególnych członków sądu, które nawet ex praesidio jako przewodniczący korygować musiałem, przychodzi do przeświadczenia, iż większość sądu dążyła w zamiarze obejścia przepisów statutu o nagrodzeniu najlepszego dzieła a nie całokształtu twórczości, posiłkując się totem „Ucho igielne” jako pretekstem a ocenając i nagradzając dawniejsze zasługi literackie Staffa;

że przyjmując powołanie na członka sądu konkursowego każdy z sędziów przyjmuje na siebie obowiązki lojalnego przestrzegania statutu nagrody i nie może bez protestu dopuszczać do omijania jego postanowień, i wobec powyższego zgłaszam votum separatum przeciwko orzeczeniu sądu konkursowego”.

Wobec tego votum separatum większość sądu uchwaliła, oprócz zażądanej przez p. ministra już przedtem motywacji ostatecznego wniosku, dołączyć do tego wniosku także odpowiedź na votum separatum p. Dąbrowskiego.

MOTYWACJA I ODPOWIEDZ

Większość sądu konkursowego uznała „Ucho igielne” Staffa za dzieło z najwybitniejszych wybitne szczególnie.

Treścią jego są wewnętrzne falowania uczucia religijnego, szczerego i głębokiego, przechodzące nieraz jakby w modlitwę a nawet ekstazę mistyczną. Niemą tu nic ze współczesnego snobizmu religijnego, — wiara Staffa wyraża się skromnie i pokornie, w czem wspomaga autora i jego wysoka sztuka, która w innych tomikach objawiała się np. we wspaniałości i bujności retorycznej, a tutaj, stosownie do tematu, objawia się w umiejętności subtelnych przemilczan i niedopowiedzeń. Wszystkie zalety artystyczne Staffa trwają w tym zbiorze w tej samej sile, tylko zmieniają formę, przechodzą przez „ucho igielne” pokory religijnej, które rządzi pokorą artystyczną. Na małej przestrzeni nagromadzone są wielkie napięcia liryczne. Klejnoty poezji najczystszej wody, jak na str. 17, 18, 19, 21 (!), 44, 47 (czysto staffowski!), 55, 57, 61, 72, 83, 85, 104 (!), 105 (!), nie tylko wzbogacają znakomity dorobek poety, lecz przechodzą także do skarbcza literatury oczystej.

Na zarzut votum separatum, jakoby większość chciała obejść statut i posługiwała się jedną książką Staffa w celu nagrodzenia całej jego twórczości, odpowiadamy, że wprawdzie nie jest to insynuacja, ale niewątpliwie nieporozumienie. Pojęcie „najwybitniejszego dzieła”, zawarte w § 2 statutu nagrody, nie identyfikuje się w naszych oczach z dziełem mającym największe powodzenie na giełdzie opinii literackiej lub najwięcej rozklamowanym. Sąd konkursowy absolutnie nie może kierować się tem, co „powszechnie słyszeć się daje”, lecz własnym sumieniem. Okoliczności zewnętrzne, t. zn. wzięte z poza dzieła (jak np. olbrzymi wpływ Staffa na rozwój całej współczesnej liryki polskiej), poruszała nie tylko większość lecz i autor votum separatum.

Największa hurtownia księgarska W POLSCE

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ Sp. Akc.

WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmując na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je w komis do księgarzy w całej Polsce.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE KURJER KSIĘGARSKI

WYDAWNICTWA MORTKOWICZA

Nowy tom Stefana Żeromskiego p. t.

ELEGJE

i inne pisma literackie i społeczne.

Przygotował do druku Wacław Borowy.

Zbiór utworów niewydzanych i rozproszonych i zapomnianych rękopisów z portretem Żeromskiego i podobiznami ostatnich manuskryptów. Nowy, jakby z z grobu głos wielkiego pisarza przemawia do nas w tym tonie najgłębszym ukochaniem idei człowieka. Cała wiła strona działalności pisarskiej Żeromskiego, jego czujność na wszystkie sprawy życia narodowego i narodowej kultury, jego zainteresowania i zamiłowania społeczne i oświatowe, jego zapał organizacyjny występują tu w sile swojej i bogactwie.

Ostatnie notatki — podane w facsimile — według wszelkiego prawdopodobieństwa stanowią przygotowanie do projektowanej „Wiosny” i podnoszą jeszcze wyjątkową wartość tej niezwyklej książki.

Sensacja literacka w najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu. Cena zł. 12.—, w opr. zł. 15.—

STEFAN ŻEROMSKI

POPIOŁY

Powieść z końca XVIII i początku XIX w., wydanie ilustrowane w 2 tomach po 400 stron dużego formatu, ozdobione 6 planszami barwnymi Michała Boruckiego, 16 całostronicowymi rysunkami Edmunda Barłomiejskiego, 60 rysunkami tego artysty na początku każdego rozdziału, 60 zakończeniami każdego rozdziału, 3 portretami Żeromskiego z okresu pisania „Popiołów” oraz większą ilością facsimilowanych urywków manuskryptów.

Arcydzieło Żeromskiego zyskało w tem wydaniu godną siebie oprawę. Trzy lata trwała żmudna troskliwa praca przygotowawcza. Wydanie „Popiołów” na pięknym, grubym, bezzdrzewnym papierze jest okazem sztuki graficznej polskiej — jednym w tej dziedzinie. Cena zł. 150.—, w opr. zł. 180.—

Do nabycia w każdej księgarni na raty po zł. 16.50 miesięcznie

STANISŁAW PIOŁUN-NOYSZEWSKI

STEFAN ŻEROMSKI

DOM, DZIECIŃSTWO, MŁODOŚĆ

z portretem, licznymi ilustracjami i podobiznami autorów. Cena zł. 12.—

Pierwsza biografia Żeromskiego dzięki ogromnemu materiałowi, którym autor rozporządzał, daje pełny obraz tych ciekawych czasów życia wielkiego pisarza. Niepublikowane listy Żeromskiego, autografy pierwszych utworów, liczne ilustracje i fotografie zdołał te wartościową książkę rozrzuć wprost bogactwem.

Nakład Tow. Wydawniczego w Warszawie, Mazowiecka 12

Katalogi i prospekty na żądanie gratis i franco

Niedorzeczna konfiskata

W ubiegłym tygodniu komisarz rządu skonfiskował nr. 6 miesięcznika „Dzwignia”, „za zespół artykułów i ilustracji”. Wspomniany numer zawierał artykuł o projekcie akademii literatury, przekład wiersza Majakowskiego, urywek ze znanej książki amerykańskiego pisarza Reeda o Rosji, artykuł o nauce w Rosji sowieckiej, nekrolog o Przybyszewskim i t. p. Zastanawiający jest fakt, że pismo literackie może być skonfiskowane „za zespół artykułów” i że w tym „zespole” można pomieścić wszystko jako nieprawomyślnie. Przecież nie chodzi tu o ulotkę polityczną, ale o pismo zajmujące się zagadnieniami kultury. Czy rzeczywiście urzędnicy, cenzury mają tak szerokie pełnomocnictwa w dziedzinie polityki kulturalnej?

Jeżeli idzie o ton, to artykuły „Dzwignia” nie są pisane ostrzej niż w innych pismach. Należy naprawdę zastanowić się, dokąd dojdziemy, oddając cały kierunek literacki — z którym można się nie zgadzać, ale który istnieje wszędzie, — na łup „nie pozwalano” mało inteligentnego referenta prasowego komisarzatu rządu.

Redakcja „Wiadomości Literackich” zawiadamia czytelników, że nie zwraca drobnych rękopisów, odpowiedzi udziela zasadniczo w rubryce „Korespondencja”. Na odpowiedzi listowne należy dołączać znaczki pocztowe.

Wydawnictwo Koła Historyków S. U. W.

NOWOŚCI

Najnowsze prądy umysłowe Europy Zachodniej

Marceli Handelman — FRANCJA, cena 65 gr.
Oskar Halecki — NIEMCY w przygot.
Maurycy Mann — WŁOCHY „ „
Andrzej Tretiak — ANGELIA „ „

Do nabycia w księgarniach oraz w Kole Historyków (Warszawa, Uniwersytet, Seminarium Historyczne, konto P.K.O. 14550)

Cena oddzielnej planszy zł. 20.—
„ oddzielnego zeszytu zł. 50.—
„ pięciu zeszytów zł. 250.—

„Długo, z ogromną starannością przygotowywane wydawnictwo powyższe ukazało się jako najwyższy typograficzny wysiłek w dziedzinie reprodukcji kolorowej. Publikacja ta może godnie konkurować z ogromnym na tem polu ruchem na Zachodzie. Każda z tych reprodukcji jest sama w sobie małym dziełem sztuki i przynosi radość kolorowego przeżycia, jakiej sam oryginał dostarcza. Nie potrzebujemy dodawać, jaką ogromną rolę wydawnictwo ma odegrać w propagandzie sztuki polskiej zagranicą, a także w podniesieniu kultury szerokiego mas kraju. Za cenę dostępną będą mogli miłośnicy sztuki nawet o bardzo ograniczonych środkach rozciągnąć kwestię kolorowej ozdoby ściany i wypręcić tandetę reprodukcją artystyczną”

(„Sztuki Piękne” — Kraków)

Nowości beletrystyczne i poetyckie

STANISŁAW BALIŃSKI. Wieczór na Wschodzie 2.50
MARJA KUNCEWICZOWA. Twarz mężczyzny 5.—
ANDRZEJ STRUG. Mogiła nieznanego żołnierza, 2 tomy 4.—
LEOPOLD STAFF. Ucho igielne 4.—
LEONARDO DA VINCI. Bajki, przekład Staffa, 6 plansz 6.—

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą 2 dol. — CGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 spzality 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 spzalt.

Odbito w drukarni „ROLA” J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11
Klisze cynkografii „W. Głowczewski”, Chmielna 18

REDAKCJA: Żłota nr. 8 m. 5 tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od gr. 16—17. ADMINISTRACJA: Poduena 1. m. 2. tel. 223-04. codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18. w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 5515.

Redaktor: MIECZYSLAW GRYZDEWSKI.
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYZDEWSKI